

TYGODNIK KOBIECY



Nr. 2.
3 listopada
1935 r.

CENA
50 GR.



Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem

futra



George Saad

opis na str. 13.

George Saad

TYGODNIK KOBIETY

Redaktorka naczelna: WANDA DOBRZANSKA.

Wydawca: JANINA KULIGOWSKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Okólnik Nr. 11-a, tel. 666-35. KONTO P.K.O. 13.191.

Naczelną redaktorkę przyjmuje we wtorki i czwartki od 11-ej do 13-ej. Sekretariat redakcji czynny codziennie od 11-ej do 14-ej.

Rok I Nr. 2.

8 listopada 1935 r.

O SPRAWIEDLIWY PODZIAŁ BOCHENKA

Każda rzeczywistość ma swego upiora.

Więc i nasza — nie gorsza, (jak twierdzą starzy) i nie lepsza, (jak krzyczą młodzi) od innych, walczą z zębami, której na imię kryzys.

Ponure to zjawisko, spędzające politykom i ekonomistom sen z powiek, i zatruwające życie spokojnym obywatelom, nie jest, jak myślą niektórzy, tworem powojennym. Pojawiało się sporadycznie zawsze, odkąd istnieją społeczności ludzkie, odkąd cośkolwiek zaczęło być „interesem”.

A może jeszcze dawniej. Bo czyż np. nieurodzaj orzechów kokosowych, lub pomór ryb, nie był trudnym, ba, nawet niemożliwym do przetrwania, sui generis kryzysem gospodarczym, dla pierwotnego człowieka?

Ale nie sięgajmy tak daleko. I w historii kryzysów ekonomicznych dałaby się z łatwością przeprowadzić ciągłość, od owych zamierzonych czasów począwszy, a kończąc na naszych najnowszych. Tylko że, — i to jest prawda: — nigdy żaden kryzys nie trwał tak długo i nie obejmował tak olbrzymich obszarów. Jakgdyby nagle przestały dlań istnieć granice i zatrzymał się czas. I dlatego tak trudna jest z nim walka, dlatego najgenialniejsze mózgi nadaremnie — jak dotychczas — szukają wyjścia z sytuacji. I dlatego źródła tego właśnie kryzysu możemy upatrywać w wielkiej wojnie.

Nie przyszedł jednocześnie z traktatami pokojowymi, nie. Zmęczony i wynędzniały świat miał czas odetchnąć od czteroletnich prywacy podczas okresu „prosperity” (dobrobytu), jaki każde prawie państwo, w tej czy innej formie, w tym czy innym okresie, przeżywało.

I w tej „prosperity” dopatrują się niektórzy przyczyny kryzysu.

Mówiąc językiem potocznym, według tych ekonomistów, za energicznie i za wcześnie zabraliśmy się do przemysłowej rozbudowy świata. Może pośpiech ten i rozmach usprawiedliwione były czterema latami braku przedmiotów pierwszej potrzeby i niedozwonych produktów spożywczych. W rezultacie jednak okazało się, że ten sam świat, który w czasie wojny nie miał nic — teraz ma wszystkiego za dużo. Wyglądało to tak, że chcąc żyć, trzeba palić kawę w Brazylii (Brazylja), topić w morzu całe okrety owoców (Kalifornia), niszczyć pszenicę (Argentyna), lub sprzedawać obcym państwom niżej ceny kosztu, ściągając nadwyżkę z własnych obywateli (dumping, uprawiany przez wiele państw). Albo poprostu zamknąć granice celne dla importu i starać się żyć tem, co kraj wytwarza (Autarkja).

Niestety, żadna z tych metod nie okazała się skuteczną i w roku 1935 świat jest tak samo daleki od tajemniczo rozwiązania kryzysu, jak był w 1932.

Upiorem bowiem naszych czasów nie są nadmierne bogactwa, ale nie-

umiejętność podziału tych bogactw. Mieszkańcy naszego globu napewno potrafiliby wypić całą kawę, produkowaną w Brazylii, a zniszczone zapasy pszenicy nie starczyłyby z pewnością, na wyżywienie wszystkich głodnych i niedożywionych. Gdyby obuć wszystkich bosych, w magazynach nie butwiałoby miliony par obuwia, którego nikt nie chce, czy nie może zakupić i fabryki włókiennicze miałyby roboty na pełne sześć dni tygodnia, gdyby ci w łachmanach, mogli się przyodzierać, choćby najskromniej.

Teoretycznie nie wydaje się to ani takie trudne, ani takie nieosiągalne. Praktycznie jednak, podział symbolicznego bochenka dochodu narodowego nie jest rzeczą łatwą.

Podzielić bowiem właśnie trzeba ten bochenek, który jest, który mamy do podziału, a nie taki z którego każdemu możnaby ukroić wystarczającą kromkę.

Bo pokrajanie bochenka jest umiejętnością ludzką, do której, Bóg da, może już i za naszego życia, świat dojdzie, a powiększenie bochenka chleba już upieczonego, wchodzi w dziedzinę cudu. Rzecz oczywista, przy umiejętnej gospodarce będziemy mogli kiedyś piec bochenki większe, i niekoniernie z ciemnej, grubej mąki, codziennych potrzeb, ale może i z białej, najbielszej. Ale tymczasem chodzi o godziwy podział tego, co jest.

Zadanie to postawił sobie nowy rząd premiera Kościłkowskiego. I pan premier i pan minister skarbu Kwiatkowski określili zgodnie w swoich przemówieniach, że nowy Rząd pracować będzie przedewszystkiem nad wzmocnieniem organizmu gospodarczego państwa. Jest to zadanie na najbliższy czas — najważniejsze, i wymagające od społeczeństwa zrozumienia i współpracy.

Nie byliśmy nigdy narodem przemysłowym, ani krajem uprzemysłowionym. Wynikało to zarówno ze struktury szlacheckiej Polski Niepodległej, jak i z polityki ekonomicznej zaborców, w interesie których nie leżała gospodarcza niezależność „provincji polskiej”. W tem może leży przyczyna, że w dobie wszechświatowego kryzysu, więcej niż inne narody, zwięziliśmy swoje życie gospodarcze i mówiąc szczerze, więcej od innych cofnęliśmy się wstecz. Może nie rzuca się to tak jaskrawo w oczy, ponieważ naogół potrzeby nasze są mniejsze, niż potrzeby innych narodów, ale jest zjawiskiem groźnym: umiejętność wyrzeczenia się — nie jest najwyższą cnotą, gdy chodzi o naród żywy, mający własny byt państwowy.

W myśl zasady, że kto nie idzie naprzód — ten się cofa, — będziemy się cofać, jeżeli teraz, w tym trudniejszym momencie, nie potrafiemy uzdrowić gospodarczej struktury państwa.

Jak powiedział minister Kwiatkowski, nie możemy liczyć w tym względzie na szeroką pomoc obcych kapitalistów. Nie powinniśmy się oglądać na

pomoc finansową dla poczynań gospodarczych i budżetu państwa. Raczej budżet ten, jako deficytowy, należy zmniejszyć i uzdrowić przez wprowadzenie oszczędności tam, gdzie to jest możliwe, przy jednoczesnym zastosowaniu środków, mogących podnieść zdolność konsumcyjną największego odbiorcy w Polsce — wsi.

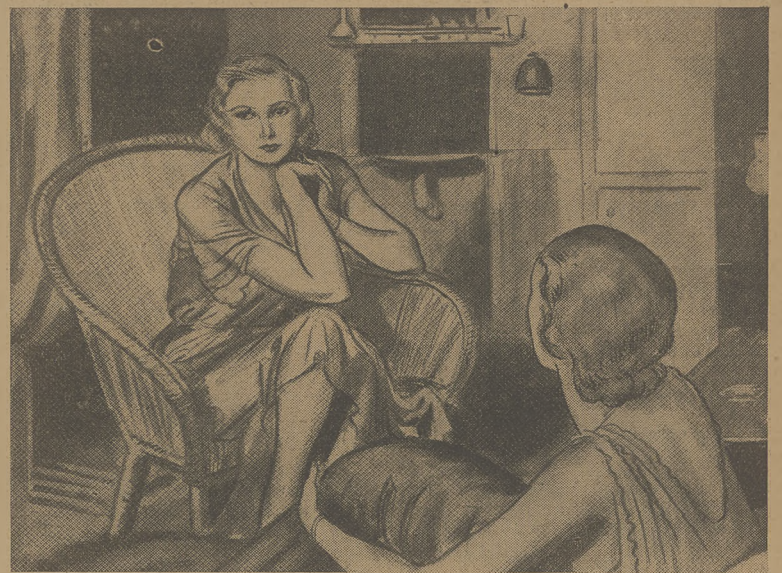
Tego rodzaju polityka jest próbą sprawiedliwszego i lepszego niż dotychczas „podziału bochenka”. Bochenek jest, pamiętajmy o tem, jeden. Nie jest też większy, niż był dotychczas. Więc jeżeli wieś, stanowiąca większość ludności polskiej, dostanie większe kromki — ktoś będzie musiał dostać mniejsze.

Jest to konieczność nieunikniona i krzywdą tylko pozorna, a w każdym razie krótkotrwała, bo przecież z chwilą, kiedy wieś będzie zasobniejsza, ożywi się przemysł, a z chwilą ożywienia przemysłu — osłabnie nateżenie kryzysu.

Z tego łańcucha zjawisk musimy sobie jasno zdać sprawę — zanim, — nie jest to rzecz wykluczona, — okroją nam naszą kromkę. Z pewnością pogodzimy się z tą koniecznością nie z bierną rezygnacją, ale z przekonaniem, że tylko przy wspólnej pracy i świadomej opiece całego społeczeństwa na rzecz wspólnego dobra — państwa, — zdolamy zwalczyć ponurego upiora kryzysu!

Zofja Popławska.

AMERYKANKA W SWOIM KLUBIE



...aż syła sportów i tańca, spocznie na chwilę w klubowym hotelu...

Amerykanie północni, naogół, nie odznaczają się szczególnym wyrobieniem towarzyskiem — przynajmniej w naszym pojęciu.

Ich beceremonjalność niekiedy rozśmiesza nas, to znów irytuje, a zawsze daje temat do kpin i złośliwych uwag. I rzeczywiście, trudno jest Europejczykowi pogodzić się ze zwyczajem, pozwalającym mężczyźnie białej rasy wchodzić do mieszkania, czy lokalu, z nakrytą głową, lub zdejmować surdut w obecności dam, gdy mu jest za gorąco. Wykładanie nóg na krzesło, albo dla większej wygody na stół, nałogowe żucie gumy, a co za tem idzie, częste spluwanie, wszystko to mieści się w ramach naszych pojęć o dobrem wychowaniu.

Jeszcze surowiej, aniżeli odcieć brzydka, krytykowane są amerykańskie ko-

biety, które odsądza się, może zbyt zapalczywie, od walorów towarzyskich, nie mówiąc już o innych zarzutach poważniejszej i głębszej natury. Co się zaś tyczy ich zewnętrznej strony, zaledwie raczą im przyznać niektórym, to, czemu już absolutnie zaprzeczają niepodobną: urodę, zgrabność, smak w ubraniu.

Czy opinja ta jest istotnie sprawiedliwa, o to możnaby się posprzeczać. „Co kraj, to obyczaj” powiada przecież przysłowie, a pozatem, dłaczegóżby formy przyjęte w Europie miały koniecznie obowiązywać cały świat?

Obyczaj zresztą jest produktem miejscowej gleby, specjalnych warunków. W kraju, gdzie kobiety znajdują się w znacznej mniejszości, stanowisko ich staje się siłą tego faktu, bardziej uprzywilejowane. Stąd większa pewność sie-

bie, śmiało obejście, — a familjarność wobec płci odmiennej, to już rezultat koedukacyjnego wychowania.

Z tem wszystkiem jednak, Amerykanki nie są bynajmniej pozbawione zalet, jakkolwiek te przemilcza się zazwyczaj, podkreślając w pierwszym rzędzie usterki i wady. Każdy więc może dowiedzieć się łatwo o ich lekko-myślności, połączonej z wyrachowaniem, ale rzadko kto zdola, na podstawie rozlicznych nawet relacji, otworzyć sobie obraz tej pracowitości, a przytem pogody, jaka cechuje, prawie bez wyjątku, wszystkie tamtejsze kobiety.

O tak! Amerykanka jest pogodna, co więcej wesoła i ta właściwość usposobienia sprawia, że przy ciężkiej nieraz pracy, znajduje ona jeszcze dość fantazji i humoru, ażeby wieczory spędzać na dancingu, a dni świąteczne na wycieczkach i plaży. Aż, syła tańców, sportu, lodów z wodą sodową, jakimi

członkiniami, ruchliwość ich przejawia się w urządzaniu rozmaitych imprez, wspólnych kolacji, amatorskich przedstawień i koncertów. Nic to, jeżeli podczas występu wykonawczyni gubi się w nutach, albo śpiewa całkiem fałszywie. Okoliczność taka nie wyprowadza jej wcale z równowagi, a burza oklasków ze strony zgromadzonej publiczności, tak czy owak, wynagradza jej dobre chęci.

Istnieją także, w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, restauracje przeznaczane tylko dla pań. Jedynym mężczyzną w takim lokalu jest portjer, który, za skarby świata, nie wpuszciliby do wnętrza osobnika męskiego rodzaju. W pięknie i z komfortem urządzonych salach, posilają się nadobne córy Nowego Świata i tu jedynie, poza domowym zaciszem, swobodnie, palą papierosy. Bo używanie tytoniu przez niewiasty, rzecz ciekawa, w społeczeństwie tak wolnym od przesądów, było, przynajmniej do niedawna jeszcze, źle widziane.

tyrynosławia, przez kraj, w którym nie było literalnie nic, a który Katarzynie wydał się najbardziej kwitnącą ze wszystkich prowincji jej wielkiego imperjum. Wsie zadziwiały czystością, chaty były większe, zamożniejsze, ludzie schludni, weseli i śmielsi od innych obywateli. Nie wiedziała Katarzyna tylko tego jednego, że wszystkich to było na pokaz, jak miasta w studjach Hollywood: chaty miały tylko ściany frontowe, a drzewa, przywożone czasami z okolic odległych o dziesiątki mil, wędliły, bo nie miały korzeni. Tego jednego nie domyśliła się Katarzyna, ona, która tak dobrze zawsze wszystko obliczała. Nawet użytkową wartość prezentów, jakie robiła swoim faworytom. Jak wszyscy Niemcy, miała zamiłowanie do cyfr i do statystyki. A statystyka mówi, że Niemcy uprawiają 200 zawodów. Najliczniejsi są fermerzy, których jest dwa miliony, do tego dochodzi tyłuż robotników rolnych. Z przemysłów — najwięcej par rąk — 446.000 zatrudnia przemysł górniczy, najmniej — optyczny, bo 8.400. Pół miliona ludzi buduje domy, 50.000 kryje je dachami i tapetuje, — 12.500 czyści komin... Podczas, gdy 250.000 ludzi zajmuje się wykształceniem niemieckich dzieci, 211.000 uprawia zawód fryzjerski, a 3.270 oddaje umarłym ostatnią posługę.

Charakterystyczną rzeczą tej statystyki jest to, że niema w niej ani jednej wzmianki o udziale kobiet w tej pracy. A byłoby to przecież bardzo interesujące wiedzieć, ile Niemek pracuje w trudnym i odpowiedzialnym zawodzie, który nigdzie nie ma nazwy. Bo ani „pani domu”, ani „gospodyni” się nie przyjęły.

Wiemy natomiast, że nasze dzielne działaczki społeczne starają się wszelkimi sposobami podnieść poziom indywidualnych gospodarstw wiejskich. I znajdują wiele chętnych do tej pracy.

Do ostatniego „konkursu czystości chat” stanęło 87 gospodyń. Konkurs trwał 5 miesięcy i dał świetne rezultaty, z pewnością długotrwałe. Bo kto raz przekonał się do czystości, ten się jej tak prędko nie wyrzeknie.

Ładnie rozwija się też w Polsce akcja ogródków działkowych. W ogólnej klasyfikacji — ilościowo — stoimy na jednym z ostatnich miejsc, ale akcja ta się rozwija z roku na rok. To podkreślić należy, że działkowcy bezrobotni w Warszawie ofiarowali na bezrobotnych kilka samochodów ciężarowych jarzyn i kartofli.

Cóż jeszcze? Ze major Karpiński leci do Melbourne — wiemy wszyscy. Kiedy to piszę, jeszcze nie śledzimy nawet jego lotu. Ale nim te słowa dojdą do waszych rąk, może będziemy już się cieszyć jego triumfem?

Lindbergh nie stracił jeszcze naszej sympatii. Pamiętamy i jego bohaterski lot i tragedię osobista, jaka było porwanie synka. Obecnie Lindbergh, który wszystko robi z pasją, poświęcił się pracy naukowej. Ostatnio skonstruował sztuczne serce, które, jak twierdzą uczeni, może mieć olbrzymie znaczenie w chirurgii, gdyż pozwoli odżywiać poszczególne organy, wyjęte dla doświadczeń lub zabiegów.

Sztuczne serce — to brzmi gorzej nawet od przeszczepiania oczu, o czym mówić będziemy następnym razem.

Gorzej, bo przywykliśmy słowu „serce” nadawać inne, uczuciowe znaczenie. Zet.

Podzwonne Henri Barbusse'a

We wrześniu, w dalekiej Moskwie umarł jeden z wielkich ludzi Francji — Henri Barbusse. Żadne z określeń: powieściopisarz, działacz polityczny i społeczny, poeta, publicysta nie wyczerpie treści życia tego bardzo mocnego człowieka. Wszystko było w nim razem i wszystko pogmatwane, mijające się, dopełniające jedno drugie. Znawca Barbusse'a — Gregh określa go w ten sposób: „jest dwóch Barbussów: ten sprzed wojny i ten powojenny. Pierwszy był przede wszystkim poetą. Drugi został pisarzem politycznym i jeśli nie człowiekiem czynu, to przynajmniej człowiekiem, zdążającym do czynu”.

Do tej charakterystyki można by jeszcze, dla pełności, dorzucić trzecie: Barbusse poprostu — człowiek.

Początkowo był tylko elegijnym poetą i dobrym powieściopisarzem. Wiersze jego, wydane w roku 1895 — p. t. „Les pleureuses”, rysone były pod wpływem ówczesnych parnasistów, zwrócić uwagę krytyki swą przedziwną melodyjnością. Z tego też powodu nazwano go wówczas Paderewskim poezji francuskiej.

Nie w poezji jednak należałoby szukać przyczyny wielkości Barbussa. Gdy w roku 1903 wydaje swą pierwszą powieść „Les suppliants”, a następnie — „L'enfer”, krytyka literacka uderza w wielki dzwon: narodził się nieprzeciętny talent literacki. W tych dwóch pierwszych powieściach pokazuje już Barbusse swą prawdziwą twarz człowieka, na której maluje się współczucie dla uciemiężonych i bunt przeciw istniejącej rzeczywistości. Jeżeli, badając twórczość Barbusse'a, zapagniemy poznać genezę jego komunistycznych sympatii — badania doprowadzą nas na pewno do tych dwóch jego pierwszych powieści. Klucz zagadki tkwi tam właśnie. Komunistom nigdy nie był dla Barbusse'a sprawą polityczną, ustrojową, czy socjalną. Nie myślał o stosunku komunizmu do mas; był to dla niego raczej sposób ochrony szarego, smutnego człowieka przed ciężkim losem wydziedziczonych.

Pacyfizm Barbusse'a też nie był dla niego doktryną. Narodził się on w krwawych okopach pod Verdun, wystrzelił płomiennym krzykiem w sławnej powieści „Le feu”, wydanej w roku 1916, i rozpoczął żmudną, codzienną pracę nad wielką ideą braterstwa ludów. Od tej chwili, poeta i powieściopisarz przemienia się w publicystę. Idee zrodziły tragiczne przeżycia wojenne,

a nie spekulacja myślowa. Niezależnie od tego, trzeba tę ideę podać jakoś społeczeństwu w formie najbardziej żywej i przekonywującej.

Powieść — akcja jej zazwyczaj toczy się o krok tylko od kłamstwa, które podobało się nazwać ludzimum wyobraźnią literacką. Publicystyka więc staje się dla Barbusse'a jedyną możliwą drogą przekazywania myśli. Zaczyna pisywać w miesięczniku „Clarté”, a w roku 1928 zostaje redaktorem tygodnika „Monde”, trwając na tem stanowisku aż do śmierci.

Nieustępliwą walkę Barbusse'a o pokój świata, co w pewnym okresie czasu było hasłem bardzo niemodnym, zarówno jak i jego wyraźne sympatie komunistyczne, sprawiły, iż Barbusse otoczony był szyderczymi wrogami. Tak, właśnie szydercami, gdyż satyra francuska nie miała lepszego tematu niż Barbusse i jego walka z wiatrakami. Barbusse - publicysta zrywał się, i bronił zaciętkami polemikami. Barbusse - człowiek, uśmiechał się łagodnie i przebaczał, bo jego najwybitniejszą cechą było to, że kochał człowieka. To był jego komunizm i to był jego pacyfizm. Za życia nikt tego dojrzeć nie mógł. Zakryto prawdziwe oblicze człowieka strzępami sztandarów partyjnych politycznych i demagogicznych ugrupowań, słowa jego podciągnięto pod strzechale programowych mów wiecowych.

Dopiero śmierć odkryła oblicze człowieka.

Zwolniony z szumnych, nieswoich frazesów, które, niby kamienie, ciążyły na jego życiu, z odkrytą, jasną twarzą wędrował poraż ostatni Barbusse przez spory szmat Europy, z Moskwy do Paryża.

I dziwna rzecz: — zniknęli gdzieś ci, co mieli rzucić przekleństwa na jego trumnę. Paryż przywitał go żalobny, poważny i uroczysty i nikogo z „wielkich” nie brakowało w kondukcje żalobnym za trumną Henri Barbusse'a, a wieniec ciągnęły za sobą wstęgi z przerwami napisami.

Zwłoki Barbusse'a spoczęły na cmentarzu Père-Lachaise, w pobliżu grobu poległych komandorów, z czasów krwawych narodzin paryskiej komuny.

W dzień zaduszny grób Barbusse'a tonie w powodzi kwiatów i światła. Nic zaglądamy w twarze tych, co w zadumie przystanąli nad tą mogiłą. Może dostrzeżlibyśmy oblicze, którego tu nie spodziewalibyśmy się spotkać.

Zofja Miszewska.



...posilają się nadobne córy Nowego Świata.

częstują ją wielbiciele, spocznie na chwilę w miękkim fotelu klubowym.

I tu, w otoczeniu jedynie kobiecym, nie okazuje nigdy twarzy zmęczonej ani zatroskanej. Na stereotypowe, powitalne zapytanie „how do you do?” odpowiada niezmiennie, że miewa się doskonale. Odpowiedź w sensie odwrotnym równałaby się bowiem grubej niegrzeczności. W rozmowie nie porusza tematów nudnych.

W takim usposobieniu leży niezaprzeczenie ogromny i prawdziwie — niedoceniony — wdzięk Amerykanek, górujący silnie w tym wypadku nad suchym konwenansem.

Zwyczaj towarzyskiego zbierania się kobiet (t. zw. ladies meeting) jest tam bardzo rozpowszechniony. W klubach, których są one chętnymi i gorliwymi

Znane w świecie Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet, (Young Women Christian Assotiation), u nas przewane krótko „Iwcią”, rozwija także dobroczynną działalność w kierunku organizowania klubów towarzyskich dla cudzoziemek, często krótko bardzo osamotnionych w obcym środowisku. Ta szlachetnie pomyślana akcja wydaje dobre owoce, zbliża do siebie przedstawicielki różnych narodowości, sprzyja związkom przyjaźni, daje możliwość czynienia ciekawych obserwacji i gromadzenia wiadomości z pierwszej ręki o innych ludziach i krajach.

A zatem można polubić Amerykanki. Są szczerze, bez maski, jak duże dzieci i pogodne, nade wszystko pogodne!

Zofja Gostomska.

WCZORAJ, DZIŚ I JUTRO...

Nazwisko pierwszej feministki? Nie wiem, czy kiedykolwiek da się je z całą ścisłością ustalić. Zawsze okaże się, że przed tą pierwszą, była najpierwsza.

Więc nie chcę tym tytułem obdarzać pani Parquet, gubernatora Martyniki za czasów Ludwika XIV. Pojechała tam jako pani gubernatorowa, młodzianka, nieśmiała, rozpieszczona kobietka. W dwa miesiące po przyjeździe pan Parquet umiera. Wdowa po nim obejmuje rządy nad wyspą, ściągając podatki, ćwicząc wojsko, zarządza nawet karną wyprawą przeciw korsarzom angielskim.

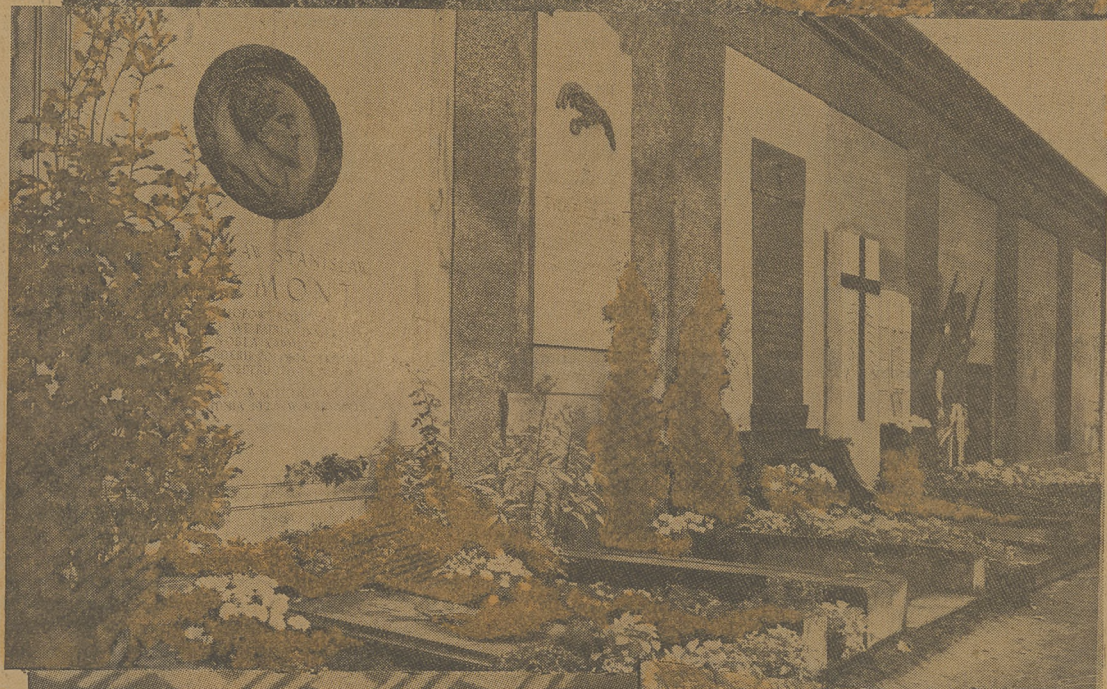
— Gdzie nauczyła się tej sztuki?

Sądzę, że nie w ponurym klasztorze, którego była wychowanką. Raczej talent wrodzony. Talent tak wybitny, że król, w roku 1664 proponuje jej „uprowadzenie wysp amerykańskich”... Wyspy te były w opłakanym stanie i jedyną nadzieję pokładano w kolonialnym genjuszu pani Parquet.

Obawiam się, że p. Marcelle Lafont ma do spełnienia zadanie niemniej trudne od pani Parquet. Żyje coppersada w XIX w. i jest „przydzielona” do gabinetu ministra zdrowia publicznego i

wychowania fizycznego, ale jej pracę też można nazwać we Francji — pionierską. P. Lafont ma za zadanie tworzenie centralnej organizacji, obejmującej opiekę nad dzieckiem. Nad dzieckiem niedorozwiniętym, chorem, opuszczonym, źle traktowanym, ubogiem. Rozpowszechniony we Francji zwyczaj oddawania dzieci na karmienie (jak się to mówi u nas „na garnuszek”) do obcych rodzin, stwarza w tym kraju, cierpiącym na brak dzieci, wiele niedoli właśnie dziecięcej. Więc uderzono na alarm, ogłoszono „krucjatę matek”. Pani Lafont jest pełna dobrych nadziei co do celowości i rezultatów swojej misji. Oby się jej tak powiodło, jak ongiś pionierce pani Parquet.

Mamy też nadzieję, że w swoich objazdach po Francji, wykaże więcej krytycyzmu od Katarzyny Wielkiej, w czasie jej osławionej podróży na południe Rosji. Mamy nowy opis epizodu tego życia caricy, w książce Giny Kaus „Katharina die Grosse”. Katarzyna, uosobienie esprit d'état, jak mówili jej wielbiciele, dała się poprostu, mówiąc trywialnie i zwyczajnie, nabrać Potiomkinowi. Wiózł ją od Kijowa do Jeka-



LECĄ OSTATNIE LIŚCIE Z DRZEW...
OSTATNIE KWIATY JESIENI NIESIEMY NA DRO-
GIE NAM GROBY W DNIU ŚWIĘTA UMARŁYCH.
LECĄ OSTATNIE LIŚCIE Z DRZEW...
W BŁADYCH PROMIENIACH JESIENNEGO SŁON-
CA PRZYRODA UKŁADA SIĘ DO SNU.

W SZARE PORANKI JESIENI I W SMUTNE
DNI ZIMOWE PÓJDIEMY POSTOKROC PODPA-
TRZEC, ŻE POD LODOWĄ POWŁOKĄ DRGA JEJ
ŻYCIE, UMOCNIC SIĘ GORĄCĄ WIARĄ W TO,
ŻE NIE UMARŁA.

I NIE UMARLI CI, KTÓRZY ODESZLI, WIEL-
CY ANI MALI. SEN WIECZNY ZAMKNAŁ ICH
POWIEKI.

ŻYJĄ W SPEŁNIONYCH CZYNACH, W NA-
SZEJ MIŁOŚCI I WSPOMNIENIU.

BO ŚMIERCIĄ JEST DOPIERO ZAPOMNIENIE...



MAŁE PANIE DOMU

Jest taka ulica na peryferjach, otoczona parkanami, za którymi coś się zaczyna budować. Wiatr hula po niej, odrywając jesienne liście z drzew, i unosi je, razem z kurzem lub kroplami deszczu. Tu i owdzie dźwiga się nowoczesny dom. Dalej białością ścian uderza ogromny dach, poprzecinany taflarza ogromny gmach, poprzecinany taflarza Pierwszej Miejskiej Szkoły Rękodzielniczej, ciągną się korytarze szerokie, jak wąskie uliczki. Pośrodku każdego — olbrzymia przestrzeń kwadratowa.

— Tu się odbywają modlitwy i spędza się pausy, mówi pani dyrektorka.

Na oknach i na stolikach stoi mnóstwo doskonale utrzymanych, doniczkowych roślin. Jest czysto i ogromnie jasno, nawet w dzień słotny. Za rzędamy omglonych drzwi, panuje dziwna cisza, w której czuje się obecność wielu istnień, ujętych w karby szkolnego rygoru. Dopiero po donośnym dzwonku, cisza ustępuje głosom, wybuchającym porywście i coraz donośniejszym. I zaraz potem wybiegają z za drzwi dziewczynki i uwijają się po korytarzach i szeregach schodach.

Biegna na drugie piętro, gdzie uczą się dziewczęta, od czternastu do dwudziestu jeden lat, w Rocznej Szkole Przynależności do Gospodarstwa Domowego. Nauka jest bezpłatna. Obowiązują tylko drobne opłaty i zwrot za pomoce do nauki. Ale dziewczęta zabierają dla siebie przedmioty uszyte, a ugotowane potrawy spożywają na miejscu.

Na oknach, lśniącego od czystości korytarza, stoją doniczki z kwiatami, oznaczone karteczkami.

— To nazwiska dziewczynek, które kwiaty sadziły. Bo mamy też hodowlę

rozmessezone są naczynia do gotowania i przybory wystarczające dla zrobienia posiłku dla trzech osób. Dwie fajerki gazowe dla każdej i gazomierze do kontroli zużytego gazu (co za szalona okazja do wykazania oszczędności!). Na szyi, zawieszona na taśmie, grube rękawice z flaneli, do trzymania gorących naczyń i garnków.

— Irenko, nie zawinęłaś rękawów! Zosiu, bierz przez łapki, poparzysz ręce! Proszę sprawdzić, czy fasola miękka! Widelcem, nie łyżką! Proszę pozakręcać gazy! Nie odchodzić od kuchni! komenduje pani instruktorka. A teraz przygotować rondelki na masło! Część masła pozostawić do zupy. Ile masła potrzeba na jedną osobę?

— Jeden dekaqram, odpowiada chór.

I pracują dalej te dziewczęta, przysze, wzorowe panie domu. Prace szkolne dostosowane są do pór roku. Więc w dziale kulinarnym robi się obecnie przetwórstwo, w dużej kuchni grupowej, gdzie pracują jednocześnie grupy, złożone z sześciu osób. Sliczne przetwory jarzynowo-owocowe stoją w spiżarni. W tejże kuchni odbywa się świąteczne pieczenie i wielkanocne wędliniarstwo. Są to emocje i przeżycia najwyższej kategorii.

Ale właśnie do kuchni wpada ktoś

podstawie ścisłej kalkulacji i racjonalnych metod pracy. Będą się stosowały do pór roku. Potrafią pielęgnować chorego i niemowlę. Zdobędą kulturę i wiedzę, potrzebne do prowadzenia gospodarstwa. Przyswoją sobie metody pracy, oszczędność produktów i nawet czasu. Potrafią ułożyć plan dnia z uwzględnieniem czasu dla siebie. I tem samem staną się przeciwstawieniem wiecznie zapracowanej i zdenerwowanej pani domu.

Obok nauk ogólnych, w tej dziwnej szkole prowadzona jest klasa prania i prasowania i nauka robót ręcznych. Szycie ręczne i maszynowe, zdobnictwo, trykotarstwo. Dziewczynki zaczynają szyć od woreczków do śniadań, ozdobionych wzorami podstawowych ściegów. Potem kołnierzyki, bielizna osobista. Kończą na sukienkach lnianych. Każda opuszcza szkołę z małą wyprawą. Niejednokrotnie bielizna, uszyta w w szkole, to jedyny obiekt, który można przynieść do szkoły na naukę prania. Odbywa się właśnie w pralni, na metalowych baljach, tarach i wyżmaczkach. Kotły są umiejscowione, ale, że uczennica będzie musiała postąpić się ruchomym, więc stoi takie miedziane cudo na gazowej kuchni. Bieliza suszy się w suszarzni gazowej, najnowszego modelu, na drążkach obracających się jak koła młyńskie. Oczywiście ma-
gluje się i prasuje też nowoczesnie i metodycznie, na deskach, przypinanych do ścian, po skończonej robocie. I tu się kalkuluje i zaczyna pracę od rzeczy najłatwiejszych, kończąc na bieliznie sztywnej. W prasowni, na stole pani instruktorki, leżą drobne, miedziane monety, ułożone rzędami.

— To dobrowolny podatek na Towarzystwo Popierania Budowy Szkół. Składają go dziewczynki, jako karę za rzeczy nie położone na miejscu, wyjaśnia pani instruktorka.

— Po ukończonym roku szkolnym, małe panie domu wyjeżdżają na dwutygodniową praktykę. Tam, na kolonji, tylko one są gospodyniami, od a do zet. Od rana do wieczora. Wdrożone do pracy w warunkach luksusowych, borykają się poprostu z prymitywem, który czeka je przecież w większości gospodarstw. Ale jakoś sobie dają radę.

— Tylko, proszę pani, dwa tygodnie samodzielnej praktyki, to trochę mało. Żebź choć miesiąc! mówią.

Wracają potem małe panie do domu. Do przerożnych środowisk, z jakich pochodzą. Wnoszą w życie domowe wiedzę i kulturę. Czynniki o wielkim znaczeniu dla iaknaiszych warstw, ze względu na ogólny poziom kulturalno-gospodarczy całego kraju.

I doprawdy chciałoby się widzieć przymus w tego rodzaju szkoleniu dziewczynki, jak przymus wojskowy dla chłopców.

Szkoła istnieje trzeci rok, ma coraz lepszy element i wzbudza zainteresowanie coraz większe, chociaż nie daje pracy zarobkowej. Jednak, o wartości tego rodzaju szkolenia, mówi doskonale jeden zabawny epizod z życia szkoły. Bo kiedy nagrywano film propagandowy, uczenie nie umiały robić źle. Pracowały tak, jak trzeba, pomimo napomnień, żeby właśnie tym razem było nie tak znów wzorowo.

— Nie potrafimy, odpowiadały. I dopiero osoba nieprzeszkolona, dyktantka, uratowała honor propagandowego filmu. A dziewczynki były z tego zadowolone i dumne.

— Nauczyłyśmy się pracować wzorowo — powiadają z uśmiechem. Będziemy się starały naszą umiejętność stosować zawsze. W domu rodziców. A może potem u siebie.

— To taka przyjemność pokazać komuś, jak trzeba pracować — mówi inna. Czasem kobieta tak się zagubi w pracy domowej. Taka jest zdenerwowana, zła, rozgoryczona. A dopiero, jak jej pokazać właściwy sposób pracowania, to z początku robi „wielkie oczy”, a potem... Potem, to mówi, że sama nigdyby nie wpadła na ten pomysł. A przecież, to takie proste!

Tę świadomość wartości zdobywanej wiedzy gospodarczej posiadają wszystkie dziewczynki. Takie są przyrobocie pogodne, chętne, zainteresowane. Tak dają z siebie maksimum rzetelnego wysiłku, że, doprawdy, można im pozazdrościć możliwości uczenia się w ten sposób i w takich warunkach.

Oczywiście to nastawienie idzie z góry. Pani dyrektorka i panie instruktorki pracują nie tylko w granicach zakreślonych obowiązków. Serdeczną nić, łączącą je z uczenicami, wyczuwa się z każdego słowa. Atmosfera przyjaźni dominuje wraz z umiłowaniem placówki. A placówka jest poza celowością taka wzorowa i śliczna.

Z taką przyjemnością chodzi się po przestronnych korytarzach, przystrojonych zielenią. Wchłania się pełne światła i doskonale powietrze we wzorowo urządzonej salach.

— My tak kochamy naszą szkołę. Z taką radością przychodzimy codzień. W święta się nam dłużej — mówią dziewczynki.

Ale oczywiście ich właściwa rola zaczyna się dopiero po skończeniu szkoły. Kultura na codzień, zastosowana w życiu każdej rodziny, poparta zdobytą fachową wiedzą, to doprawdy nieoceniona wartość ze względów gospodarczo-rozwojowych w naszym społeczeństwie.

To też każdej młodej osobie, która nie wie, co z czasem zrobić, która nie może się zdecydować na wybór zawodu, która nie może uczyć się z tylu czy innych względów, można zupełnie śmiało poradzić roczne przeszkolenie w tej pożytecznej szkole.

Marja Dobrowolska.



„Małe Panie Domu” przy dużym praniu.



„Zosiu bierz przez łapki, poparzysz ręce...”

roślin pokojowych i ogrodowych, jako część gospodarstwa domowego, — mówi pani instruktorka. A dziewczynki nie doczyściły dziś jeszcze korytarza.

Na końcu korytarza stoją białe szafki, stół i krzesła, osłonięte parawanem.

— Tu nasze dziewczynki przebiegają się w gospodarskie mundurki. Wiedzą, iż nie należy gotować w ubraniu wełnianem, że długie rękawy przeszkadzają w pracy, a głowa musi być osłonięta. Dlatego mają do pracy sukienki płócienne, białe fartuszki i czepeczki.

A właśnie otwierają się drzwi do ślicznej kuchni „indywidualnej”, urządzonej na wzór laboratorium. Półkołem siedzą na wysokich stołkach uczenie przy szafkach, stołach z gazowymi kuchenkami. Pod ścianami umywalnie i wysoka katedra, z której pani instruktorka komenduje. Dziewczynki zaczynają przecież od samych podstaw! Od obierania i skrobania jarzyn. Uczą się celowości i właściwości ruchów. Dwie „gospodynie”, dyżurne uczenie, krzątają się po załatwieniu zakupów. Rozdają produkty na „menu”, ułożone stosownie do programu. Uczenie pracują indywidualnie na rozporządzalnym terenie pracy, wnoszącym 60 cm. dla każdej z nich. W każdej szafce

z wiadomością, że w „indywidualnej” obiad gotów. Na każdym stoliku wzorowe nakrycie. A jeść trzeba też kulturalnie i spokojnie.

Wchodząc, mówię:

— Smacznego!

— Dziękujemy, zapraszamy panią na obiad, — odpowiadają dziewczynki. I zaraz jest modlitwa. Obiad, po dziewięciu godzinach nauki gotowania, jest niebyle jaki. Zupa kalafiorowa, zielona fasolka i wyśmienity kompot, którego nie powstydziliby się najlepszy kucharz. Gdzieś tam, na bocznym stoliku, stoi w miseczce marchew i obierki z jabłek. Poco?

— U nas nic się nie marnuje. Marchew będzie dla psów, a z obierek zrobimy ocet — wyjaśnia pani instruktorka.

Po obiedzie następuje zaraz zmywanie i odrazu przytem uwytadniają się nie tylko indywidualne zdolności uczenie, ale i ich wytrzymałość fizyczna i temperament. Wszystko idzie cicho. Czasem tylko ktoś czemś stuknie. Potem oblicza się koszty ogólne obiadu i poszczególne porcje, ze specjalnym uwzględnieniem paliwa.

Bo te przyszłe nowoczesne panie domu będą opierały swe gospodarstwo na

Vespertor

POWIEŚĆ



Jasper Vellacot, obywatel angielski, po zdobyciu wielkiego majątku w Australji, przenosi się do rodzinnej Anglii i zaznacza swój współdziałanie w pracy społecznej, szeregiem dzieł filantropijnych. W dniu uroczystego otwarcia ufundowanego przez niego szpitala, w jednej z podmiejskich miejscowości w Londynie, poznaje Jasper Vellacot młodą damę z arystokracji angielskiej, która wywiera na nim silne wrażenie. W toku rozmowy, dowiaduje się Vellacot, że uważa go ona za swego kuzyna. Vellacot milknie zmieszany, a czytelnik odnosi wrażenie, że nad nazwiskiem australijskiego bogacza ciąży jakaś tajemnica. Tymczasem jeden z obecnych, major Sparling, przewodniczący komitetu stronnictwa konserwatystów, podchodzi do Vellacot'a i proponuje mu współdziałanie w pracy swego stronnictwa.

Musi to być mocny człowiek, człowiek z charakterem, cieszący się popularnością. Radykali są w naszym okręgu strasznie silni. Zaden torys nie zdoła tutaj przeforsować swej kandydatury. Gdyby tak nasz komitet zaprosił pana... Czy zgodziłby się pan reprezentować interesy ludności North Ham, jako konserwatysta?

Vellacot zerwał się na równe nogi i ogarnął Sparling'a badawczym spojrzeniem, poczem określił się na pięcie i jął przemierzać pokój tam i napowrót. Oddawna pragnął być w parlamencie. Wiedział on dobrze, że nawet w izbie gmin, człowiek, rozporządzający olbrzymim majątkiem, cieszy się posłuchem, on zaś niejednemu miał do powiedzenia i niejedną plan do zrealizowania. Jeszcze godzinę temu byłby się zgodził bez wahania, teraz jednak jął się zastanawiać. Patrzył na świat, jak przez mgłę, w której jaśniała postać Alicji. Postać ta zagradzała mu drogę. Odwrócił się nagle, jakby chcąc się uwolnić od natrętnego widoku i rzekł:

— Czuję się niezmiernie zaszczycony, majorze. Gotów byłbym przyjąć pańską propozycję, ale z pewnymi zastrzeżeniami.

— Mianowicie?

— Jestem konserwatystą, ponieważ w chwili obecnej trudno być liberałem. Spędziłem życie w kolonjach, jestem więc stuprocentowym imperjalistą. Nadeszła chwila, kiedy już nie mocarstwa, ale rasy będą stanowiły o sobie. Wierzę w możliwość dalszej ekspansji. Pod tym względem jestem torysem. Współczesny liberalizm jest nieporozumieniem. Nie ma nic wspólnego z prawdziwą wolnością. Ja zaś tak bardzo kocham wolność, że bliższy jestem konserwatystów. Podchodzę jednak do tego zagadnienia z innej strony, aniżeli pan. Niech pan to sobie zapamięta. Nie zgadzam się z wielu punktami waszego programu. Naprzykład nic się nie znam na sprawach religijnych. Uczylem się wprawdzie religii od starego wesleyeńskiego pastora, który karmił mnie i odzie-

wał przez siedem lat. Jemu to zawdzięczam trochę wykształcenia, które posiadam. W głębi duszy jestem demokratą. Wierzę w ostateczne zwycięstwo ludu. Bóg obdarzył mnie bogactwem, postanowiłem więc oddać je na usługi szerokich

mas. Chcę zapewnić ludowi przyzwoitszy byt, wygodniejsze mieszkania, lepsze jedzenie, szlachetniejsze rozrywki, chcę obudzić w nim szczytniejsze tęsknoty, chcę wspomagać chorych i znużonych, chcę zapewnić prawdziwą swobodę dzieciom, wprowadzić kobiety z dantejskiego piekła. Postanowiłem poświęcić się temu bez reszty. Stwórca zna motywy, jakie mną kierują. Gdyby mnie powołano do parlamentu, dbałbym przede wszystkim o dobro ludu, interes konserwatystów byłby na drugim planie. Oto moje zastrzeżenia, dotyczące naszego programu.

Mówił z przejęciem, nieco szorstkim, australijskim akcentem, którego zazwyczaj unikał. Major Sparling popatrzył nań ze zdziwieniem. Jakże inaczej teraz wyglądał. Nie był to już ów nieśmiały, zamknięty w sobie człowiek, który byłby, jak sądził major, głosował posłusznie na skinienie partji, i równie posłusznie zasilaby partyjną kasę złotem. Teraz przemawiał człowiek świadomy swej siły, a na domiar złego — nieustraszonego i uparty. Taki Vellacot postępowałby zgodnie z nakazem swego sumienia, a nie nagiąłby sumienie do nakazów partji. Sparling szarpnął wąsa i jął się zastanawiać, czy obecność w partji hojnego milionera nie jest ważniejszą od jego poglądów.

— Jestem dla pana zbyt bezkompromisowy, za- uważał Jasper z uśmiechem.

Sparling powstał z miejsca.

— W każdym razie jesteś pan mężczyzną, prawdziwym mężczyzną. Takiego nam potrzeba. Będzie pan miał zupełną swobodę działania. A zatem, czy wolno mi przedstawić komitetowi pańską kandydaturę?

W pół godziny później Jasper i Cudby jechali do Londynu podmiejską koleją.

— Zmęczony jesteś? — zapytał mały człowieczek.

— Strasznie. Jeżeli chcesz mi zrobić przyjemność, nie gadaj ze mną. Muszę się nad czemś zastanowić.

Cudby wyjął kieszonkowe wydanie Tymona Ateńczyka i zagłębił się w odczytywaniu tekstu, pełnego podkreśleń i dopisków. Od czasu do czasu jednak, rzucał niespokojne spojrzenia na swego przyjaciela. Jasper siedział zgarbiony, ze zmarszczonym czołem i zdawał się wpatrywać w niewidzialne przedmioty.

— Jasper, niech diabli wezmą upiory, zawołał uderzając go książką w kolano.

Jasper wzdygnął się.

— Zastanawiam się właśnie, na ile głosów mogę liczyć. Mam zamiar kandydować w jesieni.

Cudby pospiesznie schował do kieszeni Tymona Ateńczyka i założył okulary na nos.

— Opowiedz mi wszystko od początku.

Rozdział II.

W kilka dni później Jasper i Cudby siedzieli w bibliotece przy wielkim stole i przeglądali ranną pocztę. Zbliżała się godzina dziesiąta. Na stole piętrzyły się stosy kopert. Wrzucali je kolejno do kilku koszyków. Przy długim stole siedziała maszynistka, która stenografowała odpowiedzi.

Listów nadeszło mnóstwo: były wśród nich okólniki wszystkich możliwych firm, prospekty nowych spółek akcyjnych, niezamówione wycinki z prasy londyńskiej, prośby o wsparcie, jedne wzruszające, inne cynicznie kłamliwe; były też liściki w wonnych kopertach, zawierające zaproszenia na kiermasze i koncerty, urządzane na cel dobroczynny, były i rachunki, pokwitowania, listy od architektów, adwokatów, rejentów, bankierów, finansistów, kilka zaproszeń do prywatnych domów, oraz parę listów od przyjaciół.

Vellacot zmuszony był utrzymywać sztab urzędników i agentów, wynajął więc dom sąsiadujący z jego rezydencją na Gower street i urządził tam biuro. Spędzał tutaj większą część dnia, sam przeglądał korespondencję, osobiście załatwiał ważniejsze sprawy. Sprawdzał wiarygodność petycji, kierował na odległość kopalniami w dalekiej Australji. Z czasem wyłoniła się konieczność zorganizowania specjalnego biura, którego urzędnicy mieli za zadanie sortować prośby o wsparcie i dostarczać Vellacot'owi dokładnych danych. Trzeba też było niejedną

godzinę poświęcać naradom finansowym w sprawach wielkiej wagi. Vellacot operował zawrotnymi cyframi. Każda dokonana przez niego transakcja odbijała się na giełdzie, a w następstwie wywierała dodatni lub ujemny wpływ na bieg interesów tysięcy anonimowych obywateli. Codziennie w ciągu trzech godzin, przez gabinet Vellacot'a defilowali goście. Przyjmował każdego, nawet nędzarzy.

W pewnej chwili, do pokoju wszedł urzędnik z telegramem w rękę. Była to szyfrowana depesza od pośrednika giełdowego z Nowego Yorku. Zawierała jedno lakoniczne zdanie:

„Odkryto nowe źródło ropy. Dzisiaj rano 120. Sprzedano zgodnie z instrukcją”.

Jasper rzucił niedbale depeszę Cudby'emu.

— Czy to się nigdy nie skończy? — rzekł znużonym głosem.

— To znaczy, że masz od wczoraj o milion dolarów więcej. Jabym się tem nie martwił. Sam tego chciałeś. Tu l'as voulu, Georges Dandin. Kazaleś Odgers'owi sprzedać, gdy akcje dojdą do 120. Sam dyktowałem depeszę.

— No tak, mówiłem mu o tem, gdy akcje były po 75, a Odger nudził mnie, żeby je sprzedać. Zapłaciłem za nie po 40. Na myśl mi nie przyszło, że pójdą w górę. Rzuciłem byle jaką cyfrę. Tymczasem poleciały w górę. Znam się na tem. Dzisiaj lecą w górę, jutro krach, a w przyszłym tygodniu wrócą do dawnej spokojnej cyfry. Gdy sprzedam — zaczną spadać na łeb i szyję. Widzisz mój drogi, ja robię świetny interes, a inni na tem tracą. Ach, Tomasz, jakże ja tego wszystkiego nienawidzę. Żył kiedyś jakiś pogański król. Nie pamiętam jak się nazywał. Zamieniał wszystko, czego dotknął, w szczerze złoto. Miała to być kara za bezbożność. Kwiaty mu się zamieniały w złoto, ręka przyjaciela, którą ścisnął serdecznie, jedzenie i wino, wszystko zamieniało się w twarde, błyszczące złoto. Wkońcu umarł z głodu. Czytałem tę bajkę za dziecinnych lat. Takie samo przekleństwo ciąży na mnie, jako kara za grzechy. Umieram z tęsknoty i z głodu...

— Głupstwo, mruknął Cudby, ten pogański dżentelmen — to był król Midas. Miał osłe uszy — a ty nie. W tem sęk. Jeśli chodzi o zarobiony milion, oto z pewnością potrafisz go zużytkować. Oto list z Rio. Blair donosi, że wysłał okrętem dwóch wykończonych osobników. Wysyłka zaadresowana jest do Jasper'a Vellacot. Nie przewracaj, bo wyleje się whisky, którego mają pełno w brzuchach. Możesz, naprzykład, podzielić między nich milion dolarów, niech grają rolę Trincula i Stephano na odludnej wyspie. Już oni sobie znajdują Kalibana.

— Tracisz czas na próżne gadanie, Tomasz, przerwał mu ubawiony Jasper. W każdym razie zanotuj sobie ich nazwiska i daj mi znać, gdy przyjadą.

„Komitet repatriacyjny” był jedną z pomniejszych, filantropijnych instytucji, założonych przez Jaspera. Tomasz nazywał go „Towarzystwem Opieki nad ofermami życiowemi”.

— Myśmy także nie mogli dać sobie rady w życiu, — perswadował Jasper, napróżno szukaliśmy przyjaznej dłoni. Nikt nas nie chciał wyciągnąć z przepaści.

Agencja posiadała sieć agentur na całej kuli ziemskiej, w Sidney, w Rio i Hong Kongu, Kapsztadzie i w San Francisco. Każdy bankrut życiowy, który ongiś wyemigrował do kolonii, nie mógł sobie tam dać rady, każdy zdeklasowany awanturnik i łazik miał prawo do bezpłatnego biletu na okręcie wracającym do Europy, lub Ameryki, dostawał w dodatku trochę gotówki i list polecający do Vellacot'a. Dotyczyło to jednakże tylko poddanych angielskich, którzy dowiedli, iż nie mają absolutnie żadnych środków do życia. Po powrocie do Londynu, łaźnik dostawał się pod skrzydła Vellacot'a, który wyrabiał mu posadę, udzielał zapomogi i roztaczał nad nim opiekę. Cudby nieraz podkpiwał z owych importowanych pijaków, drapichrustów i matolików i przepowiadał, że cała zabawa smutno się skończy.

Przyjrzyj się mnie, mówił nieraz, mogłem znaleźć sztywnego, młodego sekretarza z rutyną, który, za 120 funtów rocznie, tysiąc razy lepiej ode mnie pełniłby obowiązki sekretarza. Skąd wiesz, czy nie tkwiła we mnie zła instynkty?... zanadto jesteś łatwowierny. Wierzę, że w każdym łajdku drzemie anioł i że dobrocią można go obudzić. Siedzisz sobie, bracie, na szczycie Góry Żłudzeń i patrzysz nadół.

Pewnego pięknego dnia góra pęknie jak jajko, a ty fikniesz kozła i połamiesz sobie gnaty.

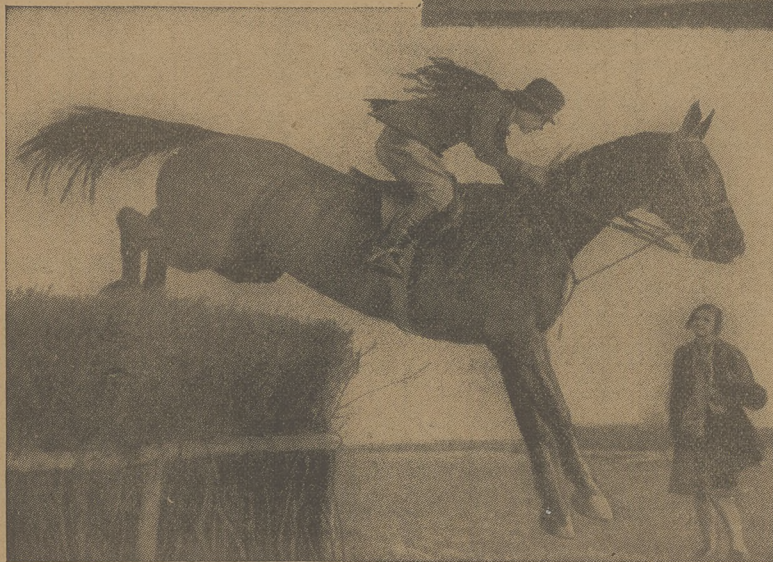
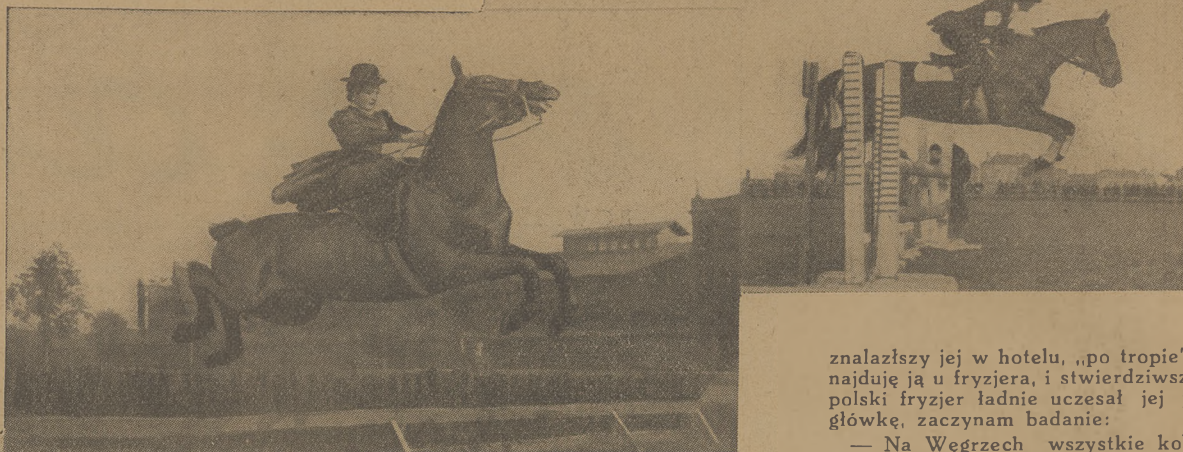
Jasper w takich razach uśmiechał się pobłaźliwie i dziękował Bogu za to, że go dotychczas nie pozbawił żłudzeń.

Amazontki

Rzut oka wstecz

Koń jest największą zdobyczą człowieka, powiedział jakiś mędrzec, patrząc na ludzkość z perspektywy wieków. Bo z chwilą, gdy pan stworzenia znalazł się na grzbiecie końskim, zmieniły się pojęcia czasu i odległości: razem wyruszają na podbój ziem i ludów nieznanymi, i zespoleni sojuszem najsłabszej przyjaźni zdobywają świat!

Razem pracują, razem staczą najkrwawsze boje, razem giną i w jednych często pochowani są mogiłach.



Za wierną służbę odwdzięcza się człowiek towarzyszkowi swemu staraniem, hodowlą i uszlachetnianiem gatunku, aż z pierwotnych kształtów brzydkiego konia powalskiego dochodzi do skończenia pięknej linii konia czystej krwi, tej najcenniejszej perły Wschodu.

Te najpiękniejsze okazy szlachetnej krwi „łatawce wiatronogie”, którym wichry i huragany ustępują z drogi, zebrane na wielkim festiwalu VIII Międzynarodowych Zawodów Jeździeckich, podziwiała wielotysięczne tłumy na Łazienkowskim Stadionie, w Warszawie.

Na ten współczesny turniej przysłały swe najlepsze ekipy Austrii, Gdańsk, Italia, Lotwa, Niemcy, Węgry, stając do walki z Polakami o zaszczytny „Puchar Narodów”. Zdobyli go Włosi. Przez dziesięć dni trwały zawody: wszyscy zawodnicy wykazali wysoką klasę jazdy i wszyscy mieli wspaniałe konie, które, doskonale czując doniosłość chwili, rywalizowały ze sobą w szybkości i skokach przez przeszkody.

W konkursach wzięły udział kobiety! Kobieta - Amazonka wjechała bowiem na tor narówni z mężczyzną, walcząc o pierwszeństwo. I bardzo często jej się powiodło; wiele nagród, odznaczeń i wstęg honorowych zdobyły jeźdźczynie na tegorocznych zawodach.

Był to jakby publiczny egzamin, na którym kobieta wykazała znakomite przygotowanie, dobre wykształcenie, cierpliwość i umiejętność zażywania konia, oraz złożyła dowód wielkiej, systematycznej pracy, co pozwoliło jej tak świetnie „zdać maturę” końskiego sportu! A piękna jazda, brawurowe przebycie „parcours” spotkało się z burzą oklasków zachwyczonej publiczności.

Jedną z naszych amazonek, p. Zofję Chodkiewiczównę, chwytamy „na gorąco”, gdy po zdobyciu dziesięciu nagród, w swym młodym życiu, nagrody, wracała na swym upojonym tryumfem „Nicponiu” do stajni.

— Za chwilę... tylko zajmę się jeszcze koniem. Trzeba go odprowadzić do stajni.

Widzę jej smukłą sylwetkę, doskonale prezentującą się w kostiumie sportowym i jakby zroszoną z wierzchowcem. Nowoczesna Walkiria, wiotka, a silna, która zachowała cały urok kobiecości, a narówni z mężczyzną pokonywuje wszystkie przeszkody.

P. Chodkiewiczówna jeździ od dzieciństwa, bo jest dzieckiem bezbrzeżnych stepów, gdzie niewiasty kresowe, jakże często zmuszone były, w nieobecności mężów, dosiadać konia i, na czele uzbrojonego oddziału, zwycięsko odpiierać najazdy pohańców.

W Warszawie od roku 1927 należy do Klubu Sportowego „Rodziny Wojskowej”, a już w rok potem, na międzynarodowym konkursie, bierze nagrodę na swym siwym „Prosiaku”. Znajdą ją „parcours” konkursowe krajowe i zagraniczne, bo od pięciu lat na „Nicponiu” bierze nagrody. A „Nicponia” dostała zupełnie młodego, nieujeżdżonego i sama go sobie wypracowała!

— Co należy robić, aby dojść do takiego stopnia doskonałości? pytam.

A widząc zdumienie w oczach mojej interlokutorki, tłumaczę:

— Aby dobrze jeździć konno...

— Należy mieć zamiłowanie do konia i do konnej jazdy, uśmiecha się panna Zofja. I pracować wytrwale. Koń wymaga życia się z nim i systematycznej pracy, i za tę pracę wywdzięcza się wspaniale.

— Tak, rezultaty pani istotnie są imponujące, wszak na obecnych konkursach zdobyła pani pięć nagród, to znaczy, że już niebawem dociągnie pani do okrągłej liczby stu! Ale pani jeździ od dziecka, a w „Rodzinie Wojskowej” niektóre panie dopiero zaczynają uprawiać sport koni. Czy mogą one osiągnąć zadawalniące wyniki?

W Klubie Sportowym „Rodziny Wojskowej” jeździectwo stoi bardzo wysoko. Koleżanki moje, właśnie te, które w Rodzinie Wojskowej poznały się z koniem, jeżdżą doskonale i zdobywają nagrody! Jazdy konnej nie traktuje się tam po amatorsku, ale po wojskowemu raczej!

— A co pani sądzi o zawodniczkach zagranicznych? pytam, patrząc, jak

właśnie jedna z tych „zagranicznych”, ubrana w czerwony frak, sady na karym wierzchowcu przez barjerę.

— Świetnie! Brawo! To Belgijka, pani Marguerite Beauvain! One wszystkie jeżdżą bardzo dobrze, no i konie mają doskonałe.

**

Panią Marguerite Beauvain odszukają w hotelu Bristol, gdzie otrzymały „kwatery” ekipy zagraniczne. Hall robi wrażenie międzynarodowego caravanseraju: ruch jak na dworcu kolejowym, dzwoni telefon, rozbrzmiewają wszystkie języki, boje uganiania się jak opętani.

Podziwiam bardzo grzecznego i wyszkolonego personel, który stoi na wysokości zadania, dając sobie radę w tym różnorodnym tłumie.

Belgijska jeźdźczyna, młoda, smukła, szatynka, promienna wdziękiem i urodą, z miłym uśmiechem odpowiada mi na pytania: Jeździć zaczęła bardzo młodo, mając lat dziesięć; sport koni uprawia z zamiłowaniem. Sama ujeżdża i uczy swoje konie; sama przygotowała sobie obydwa, biorące udział w obecnych konkursach, i zdobyła na nich kilka nagród. Konna jazda nie przeszkadza jej uprawiać innych sportów: z zamiłowaniem bierze udział w polowaniach z chartami. Wogóle konna jazda nie przeszkadza niczemu. Nie przeszkadza jej być już dwa razy matką zdrowych dzieci!

O polskich amazonek wyraża się z uznaniem. Są szalenie odważne i jeżdżą z sercem!

**

Wracam na stadion. Właśnie zrywa się tam burza oklasków. W blaskach zachodzącego słońca mieni się złotem wierzchowiec ciemno-gniady, sprężony do skoku jak cięciwa łuku... A na grzbiecie, — nie, raczej zbrojku, przy-

znalazłszy jej w hotelu, „po tropie” odnajduję ją u fryzjera, i stwierdziwszy, iż polski fryzjer ładnie uczesał jej jasną główkę, zaczynam badanie:

— Na Węgrzech wszystkie kobiety jeżdżą po damsku. Zresztą, przyznam się pani, że jest to o wiele wygodniejsze dla kobiety, mającej mniej silne nogi niż mężczyzna. A przecież, aby dobrze jeździć, trzeba mocno siedzieć i czuć się pewnie na siodle. Kobieta ma kolana i łydki słabsze przez samą budowę, trzeba więc jej ułatwić trzymanie się przez specjalną konstrukcję siodła.

Pani Inkey jeździ już od dziesięciu lat.

Odrzucała się do hipiki z wielką gorliwością, pracowała sumiennie i już po trzech miesiącach ćwiczenia, przyjechała do Polski na pierwsze konkursy i wzięła wówczas nagrodę!

— Co trzeba robić, aby dobrze jeździć?

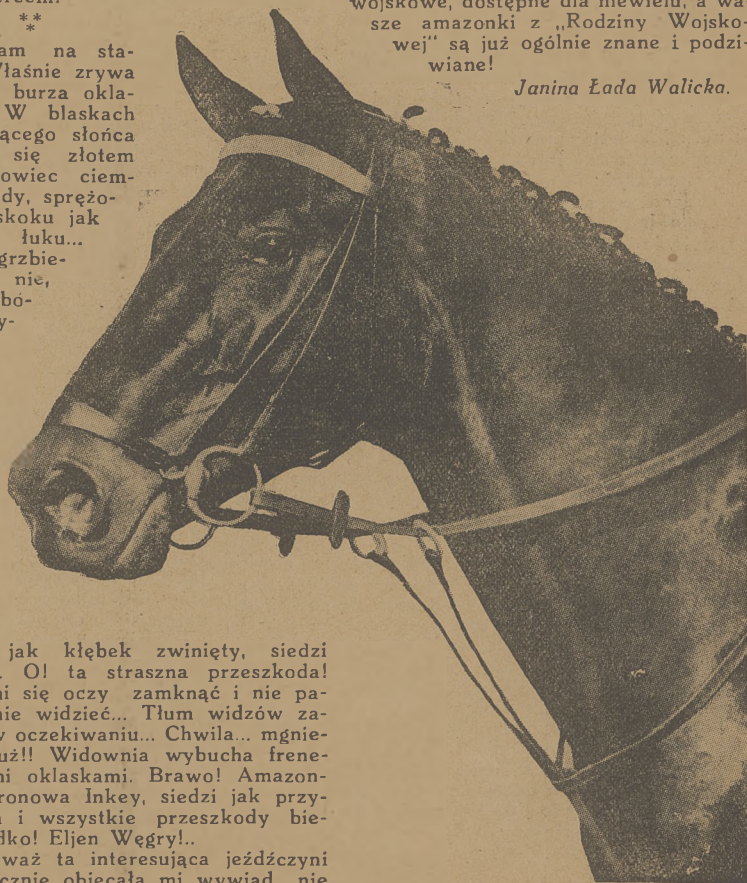
— Przedewszystkiem mieć talent — odpowiada bez namysłu, talent do konnej jazdy, a potem należy konia kochać i rozumieć go. Kiedy się go kocha i rozumie, to wszystko jest łatwe i nie ma się serca go ukarać! Ja nigdy nie biję moich koni, a sama je ujeżdżam, i słuchają mnie jak dzieci! Zawsze doskonale wiedzą, czego od nich chcą.

Nigdy ich nie sprzedaje, gdy są stare lub niezdatne do użytku: idą sobie wówczas na wieś i tam żyją.

Dzielną amazonką cieszy się, że przyjechała na konkursy do Polski, którą już zna z poprzednich pobytów. Jeźdźczynie polskie uważa za bardzo dobre i odważne. Ceni ich dobrą szkołę i temperament jeździecki. Niestety, na Węgrzech nie istnieje klub „Rodziny Wojskowej”, który w Polsce uprawia jeździectwo.

U nas są maneże prywatne, albo wojskowe, dostępne dla niewielu, a wazę amazonek z „Rodziny Wojskowej” są już ogólnie znane i podziwiane!

Janina Łada Walicka.



tulona jak kłębek zwinięty, siedzi kobieta. O! ta straszna przeszkoda! Chce mi się oczy zamknąć i nie patrzeć, nie widzieć... Tłum widzów zamiera w oczekiwaniu... Chwila... mgnienie... Już!! Widownia wybucha frenetycznymi oklaskami. Brawo! Amazonka, baronowa Inkey, siedzi jak przyrośnięta i wszystkie przeszkody bierze gładko! Eljen Węgry!..

Ponieważ ta interesująca jeźdźczyna telefonicznie obiecała mi wywiad, nie



Scena z filmu: „Annapolis”.

Ze srebrnego ekranu

Do jakiego kina pójść?

Nie zastanawiamy się nad tem zbyt, bo to przecież nie jest wybór sukni, ani kapelusza, które muszą być „do twarzy”; to tylko rozrywka, tylko skromna „godzina duszy”. A „dusza” staje się coraz mniej wymagająca i coraz łatwiej ją oszukać! Wszystkie neony wabią swem kolorowym światłem, wszystkie reklamy wrzeszczą, że tylko ich film jest „jedynym arcydziełem wszystkich czasów” — więc idzie się tam, gdzie neony są najjasniejsze, a „arcydzieło” najbardziej niebotyczne. I najczęściej się... wpada. Bo film należy wybierać, tak jak suknię lub kapelusz — z zastanowieniem, ze świadomością, ze smakośzostwem. Dziś już mamy dużo widzów (zwłaszcza kobiet), o wyróbnym smaku, orientujących się w istocie wartości filmowych — widzów usposobionych krytycznie, którym niełatwo zaimponować szumnie zareklamowaną tandetą. Ale pragniemy mieć takich widzów jaknajwięcej, albowiem wymagania publiczności regulują poziom wyświetlanych filmów. A poziom wyświetlanych filmów świadczy o kulturze danego miasta. Jeżeli miasto jest małe, nie znaczy to, że jego mieszkańcy muszą z reguły oglądać „filmy najgorsze”, bo „się nie zna”, bo „im wszystko można wpechnąć”. Uświadomiony widz wie czego żądać od filmu, wie, że rozrywka, jaką mu daje kino może być bezwartościowa i ogłupiająca, ale może też dać pełnię wrażeń i wzruszeń natury estetycznej i uczuciowej. Trzeba tylko umieć wybierać.

Ala czym się kierować?

W każdym razie nie większym blaskiem reklamy świetlnej, ani ogłoszeniem o „arcydziele”. Nazwisko reżysera, i pochodzenie filmu (kraj, wytwórnia) są najpewniejszymi wskaźni-

kami; mniej pewne już są nazwiska gwiazd, gdyż zdarza się, że pierwszorzędnicy grają w słabych i szablonowych filmach (ostatnio, przytrafia się to często Joan Crawford), albo też aktorzy jeszcze nieznanymi, czy tylko nieznanymi nam, występują w filmach pierwszorzędnych. Niezawodną pomocą w wyborze filmu powinno stanowić zaufanie do recenzenta (tę swojego pisma. Ale do tego nie wypada mi namawiać, bo... to by wyglądało już za bardzo pro domo sua.

Wśród ostatnich programów spotykamy właśnie taki film, który niczem nie kuszą laika, a jest ze wszech miar godny obejrzenia. Tytuł: „Annapolis”. Prócz nazwy wytwórni (Paramount) i nazwiska aktora, pamiętnego ze świetnej roli komendanta w „Bengali” (Sir Guy Standing) — wszystko obce, nieznanne. Żadnej „gwiazdy” (któży nazywał gwiazdą aktora, nie grywającego amantów!), nazwisko reżysera jeszcze mało popularne (A. Hall) i środowisko zupełnie nieznanne (szkoła amer. marynarki wojennej). Ale już od pierwszych scen ta obcość zostaje przelamana; spośród selek wychowanków szkoły, z maszerujących kolumn kadetów i szarej masy rekrutów — wylaniają się mocno zarysowane postacie różnych ludzi i ich różny stosunek do świata. Walka dwóch światopoglądów — materialistycznego i idealistycznego — tak, zdawałoby się, trudna do ujęcia filmowego, rozwija się w szeregu świetnie skonstruowanych scen, które śledzimy z wciąż wzrastającym napięciem. Ciekawy, a może i symptomatyczny jest fakt, że reprezentatem idealizmu życiowego jest starszek, należący już do wymierającego pokolenia, a karierowiczem i „spryciarzem” — młody człowiek zaledwie wstępujący w życie. I trzeba dopiero takiego wstrząsu, jak

mimowolne spowodowanie śmierci staro komandora, ażeby Click Haley zrozumiał wagę ideałów, wpanych w wychowanków przez szkołę, z której mają wyjść nietylko dzielni marynarze, ale też wartościowi ludzie. Stary nudziarz, „antyk”, jak nazywają w szkole emerytowanego komandora, którego jedyną miłością i troską całego życia była świetność amerykańskiej marynarki, ginąc na okręcie, którym dowodził kiedyś podczas wojny, a który dziś służy za cel pociskom.

nudziarz, „antyk”, jak nazywają w szkole emerytowanego komandora, którego jedyną miłością i troską całego życia była świetność amerykańskiej marynarki, ginąc na okręcie, którym dowodził kiedyś podczas wojny, a który dziś służy za cel pociskom,

podczas manewrów szkolnych — urasta przez swą śmierć do miary symbolu, wcielającego naczelną dewizę szkoły „Nigdy nie opuszczaj okrętu!” Charakterystyka bohaterów wydobytą środkami czysto filmowymi, umiejętnie przeplatane momentami wesołymi akcji, kończącej się akordem tak dramatycznym, w mistrzowskim wykonaniu Sir Guy Standinga, wreszcie świetna fotografia — wszystko to składa się na pierwszorzędny film, nie przypominający w niczym, nawet najlepiej zrobionych, szablonów.

Poza tym jednym filmem poważnym, prawie na wszystkich stołecznych ekranach króluje komedia muzyczna. Jest to ulubiona dziś nazwa dla wszystkich filmów o lekkiej treści, w których muzyka i śpiew odgrywają dużą rolę. Ale nie znaczy to, że nazwa ta jest ścisła. Bo np. taka „Kapryśna Marietta” (reż. Van Dycka) jest typową operetką filmową, to znaczy składa się z arii, duetów i chórów, powiązanych niezbyt mądrymi dIALOGAMI, co nie znaczy jednak, że jest niemila do słuchania i patrzenia. Nie trzeba tylko, broń Boże, brać na serio tego „historyzmu” (rzecz dzieje się w w. XVIII), gdyż ta „stylowość” jest właśnie typowo operetkowa i jeszcze w dodatku — amerykańska, co razem tworzy nonsens w kwadracie, ale zato temat ma dużo świeżości (sprowadzenie do nowo kolonizowanych Stanów Am. P. kobiet z Francji) i nadaje się do kinowego ujęcia, ze względu na rozmaitość i egzotyizm tła. Jeanette Mac Donald w roli kapryśnej księżniczki jest bardzo wdzięczna i pięknie śpiewa. Bardzo dobrym partnerem jej jest

pojechali do miasta w sprawach rolniczych, a przywieźli stamtąd... młodą dziewczynkę, mogłyby z równym powodzeniem ukazać się na scenie. Nie mielibyśmy tylko wtedy, bardzo wesołej i bardzo kinowej, jeżeli chodzi o gatunek humoru, ostatniej sceny w teatrze, kiedy to obecność jednego intruza za kulisami co chwila grozi katastrofą zepsucia przedstawienia. Osia filmu jest Marta Eggerth, której ambicje śpiewaczki i aktorskie zapokoły wkrótce... engagement do Hollywood, skąd pewnie wróci rozczarowana, jak wiele innych gwiazd europejskich (naprz. Liljan Harvey). Tymczasem jest jeszcze wdzięcznym i — jak wypada z akcji — bardzo wszechstronnym „dziewczęciem z Budapesztu”, bo nietylko ma śliczny głos i dobrze gra (co widzimy i słyszymy), ale podobno też zna się znakomicie na... hodowli krów, w co już musimy uwierzyć na słowo.

Od Marty Eggerth tylko krok do... Kiepury. A właśnie i jego śpiewem możemy się uraczyć w filmie „Kocham wszystkie kobiety” (reż. Lamac). Tutaj Kiepura gra dwie role (najnowsza manja scenarzystów!), ale gra swoją nie podkreśla należycie kontrastu między dwiema tak różnymi postaciami, jak słynny tenor i skromny ekspedjent w sklepie kolonialnym. Napisanie dobrego scenariusza dla śpiewaka, to sztuka nielada i Kiepura ma pod tym względem wyjątkowe szczęście, bo śpiew jego zawsze wpływa z akcji i nie jest bezsensowną „wkładką”. Jednakże scenarzysta omawianego filmu jest znacznie gorszy od poprzednich („Pieśń nocy”, „Pieśń dla Ciebie”), gdyż nie posiada wyraźną pieczęć niemieckiego humoru, co podkreślone jest jeszcze przez sposób gry całego zespołu i charakter reżyserji. Najciekawszym trickiem filmu jest duet Kiepury z samym sobą. Jest to



Kiepura w filmie: „Kocham wszystkie kobiety”.

również dobry śpiewak Eddie Nelson. „Dziewczę z Budapesztu” (reż. Turzańskij) to raczej farsa, tylko ilustrowana muzyką Lehara. W filmie tym jest więcej elementu teatralnego niż filmowego i perypetje dwóch „obszarników” — ojca i syna — którzy

techniczny majstersztyk, ale nadaje się w sam raz do... ogrodu zoologicznego, gdzie właśnie ten pópis ma miejsce. Kto nie zna poprzednich, lepszych filmów Kiepury, może ubawd się i na tym. W każdym razie śpiew jest — pełnowartościowy. es-ha

Nasza Pierwsza Ankieta

na temat

Jaka jest najżywotniejsza troska Pani Domu i jak na nią zaradzić należy

zostaje ogłoszona z inicjatywy OGÓLNEJ PORADNI GOSPODARCZEJ, która pragnie tą drogą wejść w kontakt z jak najszerszym kręgiem kobiet, poznać ich potrzeby, dopomóc do racjonalnego zorganizowania życia domowego.

W nadziei, że ankieta wzbudzi żywe zainteresowanie wśród naszych Czytelniczek podajemy do Ich wiadomości co następuje:

1) W polemice, jaka wywiąże się na temat najżywotniejszej troski Pani Domu należy wziąć pod uwagę nietylko samą troskę, ale i wskazać środki, jakimi nasze pismo, organ współczesnych kobiet, stojący na straży ich potrzeb, praw i słusznym żądań, zarówno jak i Ogólna Poradnia Gospodarcza, mogłyby współdziałać w dążeniu do zwalczania jej.

2) Prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem Redakcji Tygodnika Kobiety — Warszawa, ul. Okólnik 11 a, dołączając zapieczętowaną kopertę z imieniem, nazwiskiem i dokładnym adresem autorki, lub autora.

3) Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 1-ym stycznia 1936 r.

Od szczęśliwego wyjścia z kręgu trosk zarysowujących się na powierzchni życia domowego i rodzinnego zależy jego spokój, dobrobyt, równowaga. Dom i rodzina to wspólne królestwo kobiety i mężczyzny. Dlatego też liczymy w naszej ankiecie i na współudział piór męskich. Mężczyzna — widz i krytyk, stojący pozornie tylko na uboczu jest w tym wypadku na równi z nami zainteresowany. Niech i on się wypowiedzi. Czekamy.

OGÓLNA PORADNIA GOSPODARCZA przeznaczona dla uczestniczek i uczestników ankiety 10 wartościowych nagród i szereg nagród pocieszenia, które będą wystawione na widok publiczny w Ogólnej Poradni Gospodarczej Warszawa, Świętokrzyska 17, m. 3 od dnia 1-ego grudnia 1935 r.

Wyszczególnienie nagród i skład jury konkursowego ogłosimy w następnym numerze Tygodnika Kobiety

Moda na ulicy

Spacerowa moda sezonu jesiennie-zimowego 1935 — 36, okazuje oblicze pełne dystynkcji i taktownej rezerwy. Faworyzuje kolor czarny (przeważającym), potem dopiero łaskawie zezwala na istnienie gamy ciemnych bronzów i tolerancyjnie raczy oglądać najciemniejsze odcienie zieleni. Wierny nasz przyjaciel, poczciwy „nieopatrujący się” granat, którym cieszyliśmy się wytrwale przez całą ubiegłą zimą, wiosną, lato i wczesną jesień, padł ofiarą nadmiernej swej popularności.

Nie znaczy to, bynajmniej, żeby nie można było już nosić obecnie granatowej sukni, okrycia, czy kostiumu; nie — można, nawet z powodzeniem, tylko że to nie jest... to co najmłodniejsze.

Modne płaszczki są prawie równe, lekko wcięte w pasie i bardzo, ale to bardzo dyskretnie rozszerzane w dole. Oryginalna, sezonowa ich cecha stanowią rękawy, niezmiernie pomysłowe i wypracowane; wymarszczane na ramionach, szerokie i bufiaste w dole. Najczęściej krajane reglanowo lub kimonowo, albo przyszyte nisko do pelerynowego karczka.

Niezmiernie urozmaicone są kołnierze modnych okryć. Popularny od szeregu sezonów, duży szal z puszystego lisa, dotąd zwycięsko zachowuje swe czołowe stanowisko w zmiennym i kapryśnym świecie mody, nie korzysta już jednak z przysługującego mu doniedawna prawa wyłączności.

Mnogie triumfy święcą długie, płaskie wyłogi i kratki z karakułów (czarnych przy paltach czarnych, brązowych — przy brązowych). Karakuły — to najgłośniejszy krzyk mody jesiennie-zimowej. Robi się z nich nietylko klapy i kołnierze, ale i całe rękawy, karczki i plastrony, kieszenie i szamerowania (moda wojskowa).

Chętnie stosowane przy okryciach, bezkonkurencyjne i niezastąpione, są karakuły, jako ozdoba kompletów spacerowych. Kompletu te, to też bodaj najcharakterystyczniejszy krzyk modnego sezonu. Spódniczki i kurteczki — ot — niby kostiumy tailleur. Tylko, że żakiet przypomina raczej kurtkę myśliwską, niż marynarkę czy smoking (jak przy tailleur'ach) a szamerowany bywa niczym mundur huzarski albo staropolska bekieszka.

Kołnierze przy tych kurtkach robi się niewielkie, stojące jak przy mundurach naszego wojaka, albo wykładane jak przy french'ach. Fantazje na te-

mat wojskowych guzików i „brandeburów” znajdują tu niezliczone zastosowania.

Ten rodzaj spacerowego munduru cieszy się zasłużonym uznaniem w Paryżu i, znacznie mniejszym u nas. Powód — klimat. W wilgotnej i letniej mgiełce nadsekwanskiej, podbity cienką warstwą trykotu, obcisły i przytulny komplecik z futrem można nosić przez całą zimą; u nas — tylko w nieliczne słoneczne listopadowe poranki, można zaprezentować takie cudenka na ulicy bezkarnie, bez ryzyka złapania grypy. A zimą, nawet długi, podbity solidną warstwą watoliny, płaszcz, bywa niedostateczną ochroną przed zimnem. Tęsknimy do futra, długiego, ciepłego, ciężkiego, polskiego futra, stanowiącego ochronę przed mrozem, a nie ozdobną, „wiatrem podsyta” fantazję.

Uroczy, zgrabny, kusy i opieky, „robiący młodą”, komplecik à la huzar z wiedeńskiej operetki, może być dla nas, miłośników Północy, tylko miłym nadprogramem ot, jak fascynujący lecz nieobowiązuający flirtek salonowy; ale przynigdy — czemś na co się liczy i stawia. Nie zastąpi nam on ani „jesionki” ani zimowego okrycia.

Wyberzemy się w nim kilka czy kilkanaście razy na ślizgawkę; możemy go włożyć pod futro, wybierając się samochodem na polowanie do przyciąciół mieszkających na wsi — to wszystko. W czynnościach tych zastąpi go, mniej może efektywnie, lecz niemniej skutecznie trykotowa garsonka ze spódniczką, czy pull'over — ubiory znacznie mniej kosztowne a mające bez porównania więcej zastosowań, mogą nam służyć jako suknia domowa i biurowa, i jako ryszunek podróźnie-sportowy.

Okrycia trzy-czwarte, choć nie należą już do najostatniejszych nowości, zawsze jeszcze zachowują w świecie mody swe t. zw. „pewne siedzące miejsce w drugiej klasie”.

Zaopatrzone w futrzane kołnierze czy wyłogi, stanowią one niezawodne, lekkie a ciepłe skompletowania spacerowe sukien przedpołudniowych. Strojenie i elegancko wyglądają trzyćwierciowe okrycia z futer płaskich jak karakuły (w pierwszym rzędzie breitszwantze (piękne jak marzenie, lecz dla większości śmiertelniczek stanowiące marzenie „ściętej głowy”), karakułowe łapki, strzyżone jagnięta, żrebaki i „bagdady” (mniej praktyczna ale i o wiele tańsza odmiana breitszwantz'ów).

Długość tych „trzyćwierciowych” okryć jest niezmiernie kapryśna; jedne z nich sięgają kolan, inne odsłaniają zaledwie wąskie rąbek sukni. Znaczna większość ma krój kloszowy i to dość suty. Widziałam jednak modele futrzanych trois quart's'ów wciętych i ciasno spiętych w talji szerokiemi, zamszowymi paskami. Niektóre z nich miały drapowane kołnierze, przypominające z tyłu mnisie kaptury.

Wielkim sukcesem sezonu w Paryżu, jest futrzana peleryna,

którą paryżanka nosi od rana do wieczora, w lokalu i na ulicy. Przedpołudniem służy jako ciepła narzutka do spacerowego kostiumu czy sukni tailleur; popołudniu — do toalety wizytowej, wieczorem — jako sortie. Długość modnych peleryn bywa najrozmaitsza — od krótkiej pelerynki ledwie zakrywającej ramiona, do arabskiego burnusa po pięty.

W naszym klimacie, niestety, futrzana peleryna jest w większym jeszcze stopniu luksusowa-

wym nadprogramem, niż wyżej omawiany spacerowy komplet z futrem. Nie wolno nam się nie liczyć z naszymi jesiennymi szarugami i surowością polskiej zimy, dyktującą nam okrycia szczególnie zapięte, niczem klasowa dama-bigotka.

Lepiej wziąć niemiłe te ewentualności zawczasu pod uwagę, niż nadszarpnąć budżet na wydatek znaczny, a nie mający szans amortyzacji

Well.

S p o r t

Zródło radości

W języku naszym do słów sport i sportsman nie są przywiązane pojęcia ani stanu radości ani też określenia zalet charakteru. Sport, nasuwa nam na myśl, — siłę fizyczną, sprawność mięśni, współzawodnictwo, a przeciętnej kobiecie pielęgnującej swój wdzięk i urodę, stawia przed oczami widok spoconych twarzy, włosów w nieładzie, i brudnych rąk.

Pomimo pewnych różnic w pojmowaniu wyżej wymienianych słów, sport zarówno w Polsce jak i w Anglii zawiera te same elementy radosnego spędzania czasu i tak samo kształtuje niektóre cechy charakteru.

Znane ogólnie są argumenty przemawiające za celowością wychowania fizycznego dla kobiet. A więc przedewszystkiem znaczenie zdrowotne, smukła harmonijnie rozwinięta sylwetka, sprężyste zawsze młodzieńcze ruchy.

Propaganda kultury fizycznej zamała tylko podkreśla moment rozrywki i przyjemności. A tyle da się powiedzieć o radosnym uczuciu przenikającym



„Sport” — czytamy objaśnienie w angielskiej encyklopedji, „oznacza wesołą rozrywkę, zabawę, coś co przynosi radość, miłe spędzenie czasu na powietrzu, jak np. rybołówstwo, polowanie, gry w piłkę, tenis, golf i t. d.”

A dalej encyklopedia wyjaśnia: „sportsman, — ten kto w sporcie jest uczciwy i szlachetny, kto umie spokojnie i pogodnie zarówno wygrywać, jak i przegrywać”.

Poza dwoma temi wyrazami przyjętymi u nas, język angielski ma jeszcze słowa pochodne jak „sportsmanship”, co w polskim brzmi niezręcznie jako „sportsmenstwo”, a oznacza zbiór cech charakterystycznych dla sportsmana, oraz kilka przymiotników: sportful, sportive, sporty — nie dających się prawie przetłumaczyć.



ciało, gdy ramiona rytmicznym ruchem „żabki”, prują błękitną wodę rzeki czy jeziora, gdy ręce zrećnie chwytają piłkę, by za chwilę rzucić ją dalej gdy nogi na nartach — butach siedmiomilowych — przemierzają śnieżne przestrzenie.

DUŻY WYBÓR PŁASZCZY I SUKIEN

Z OSTATNICH MODELI PARYSKICH
FR. WEGNER i J. KUREK
MAGAZYN OKRYĆ I SUKIEN DAMSKICH
WARSZAWA, UL. MONIUSZKI Nr. 8
TELEFON 590-16.

Melpomena i ja

»Żołnierz i bohater«

»Dom Otwarty«

Właściwie to będzie inaczej niż w tytule: najpierw „Dom Otwarty” znana, uznana, stara jak świat sztuka Michała Bałuckiego, a potem dopiero „Żołnierz i bohater” Bernarda Shaw. Tak, stanowczo, Melpomena i ja wolałyśmy ten porządek, dla czego okaże się przy końcu feljetonu.

Więc na „Dom Otwarty” słyśmy ze wzruszeniem. Melpomena, bo jej wycucie teatralne nigdy na tej sztuce jak dotąd nie ucierpiało; ja, bo ongi, przed laty (za nic nie powiem jak dawno!) „Dom Otwarty” był pierwszym *moim* teatrem w życiu. Czas zatarł wszystko, oprócz nazwisk Frenkla i Kamińskiego, a dopiero równo-
rzędnie z rozwijającą się na scenie akcją, niektóre sceny powracały do pamięci, jak literaturne sekretne atramentu. I przez porównywanie, doszłam do takiego wniosku: wszystko

jest dziś bardzo inaczej, i zwyżczaje towarzyskie i moralność, i nawet plotkarstwo pań Ciuciumkiewiczowych i nawet zdrada małżeńska. Więcej fi-nezji, mniej szczerości, więcej swobody — mniej wyrzutów sumienia. Historia z karcetką, która tak przeraziła biedną panią Żelską — dziś byłaby, przez tę samą panią Żelską uważaną za doskonały kawał i powiedziana przyjaciółkom przy półczarnej w Simie; narzeczony panny Kamilli dawnoby z nią zerwał, gdyby robiła tyle historii z pocałowaniem w rękę, a pani Pulcherja? Ta jedna może by się nie zmieniła. Zdradzany mąż jest zawsze wdzięcznym tematem i dla sztuki i dla rzeczywistości.

Tyle o samej sztuce, a jak ona „wysła” w reżyserji Ziemińskiego. Spoirzawszy na ponurą twarz Melpomeny odczułam, że coś niedobrze. Tak, Ziemiński

jest dobrym reżyserem kameralnym i to koniecznie w sztukach nowoczesnych. Wszelka dawnosc nie znajduje u niego zrozumienia. Nie ma swego nastroju, który jest przecież tak bardzo ważny. Następnie, najgorszą wadą reżyserji Ziemińskiego (zresztą kto wie, może to była także wina aktorów) było złe stonowanie rozmów drugoplanowych. Zdezerjentowany widz nie wiedział których dIALOGÓW słuchać — jedne zagłuszały drugie, a wszystko razem było bardzo męczące. Tak, tak — cały spektakl, razem z brakiem tempa i zgrywaniem się niektórych artystów (Barczewska, Hajduga) robił wrażenie dobrego przedstawienia amatorskiego. Janecka, Chmielewski i Znicz byli bardzo do-brzy. Reszta — taka sobie.

Za to, (zwykle musi być jakaś rekompensata), „Żołnierz i bohater” Bernarda Shaw zagran był doskonale!

Słyśmy (Melpomena i ja) ze strachem, że to będzie Shaw dzisiejszy, z koniecznym aparatem dyskusyj filozoficznych, politycznych i społecznych, a tylko z lekką maskowaną akcją. Była to przecież, na szczęście, jedna z pierwszych sztuk znakomitego angielskiego pisarza,



Spódnica i peleryna — czarne — żakiet w kratkę w kolorach brudno pomarańczowym i szarym.
Granatowe palto. Kostium brzo-wy — żakiet z wylogami z aksamitu. Modele Marcel Rochat.

Prawda, że po pływaniu ma-
r. ... włosów, po
biegu spoconą twarz, a po wy-
cieczce narciarskiej brudne od
kilku gatunków smarów ręce.
Ale ruch w bez troskiem, weso-
łem otoczeniu, pod błękitem
nieba, dał nam zapomnieć o
szarym dniu powszednim, a ra-
zem z nowymi wrażeniami
przyniósł wiele energii i chęci
życia. Cóż przy tem znaczą
brudne ręce i mokre włosy?

Jakże poczuje się jeszcze
młoda pani doktorowa X, gdy
pomimo swych skończonych
czterdziestu lat nauczy się pły-
wać, lub gdy na ćwiczeniach
w zespole gimnastycznym sko-
czy wyżej od młodszej o rok
koleżanki.

Ruch nie jest wyłącznym
przywilejem młodości, jak
twierdzą czasem kobiety za-
chęcane usilnie do zajęcia się
jakimkolwiek sportem.

W Anglii, tej ojczyźnie spor-
tu — wydaje się zupełnie natu-
ralnem, że siwowłose ladies,
uprawiają długie piesze wę-
drowki, grają w gólf, tenis,
jeżdżą konno, czy też pływają.

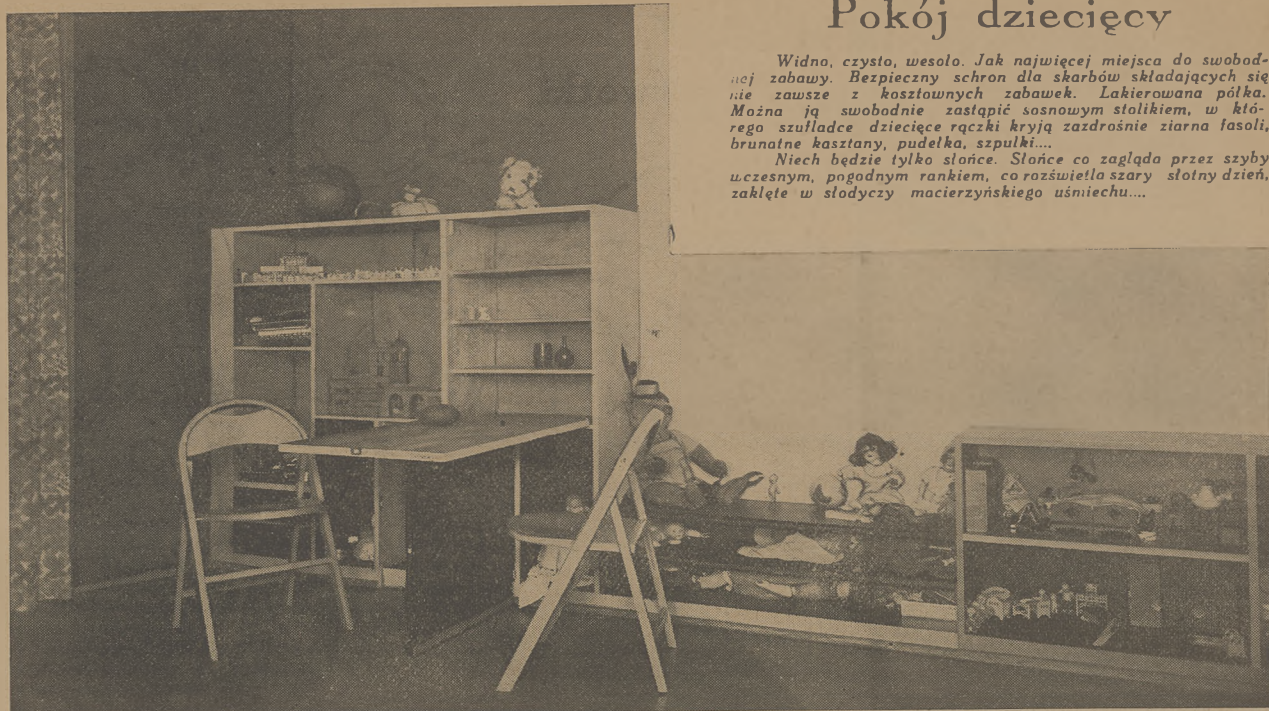
Dlaczegożby w Polsce miało
być inaczej?

Nie bójmy się przemęczenia
organizmu, ani zniszczenia ce-
ry. Lekarz i kosmetyczka przy-
jdą nam z pomocą. Rozpoczęcie
jakichkolwiek ćwiczeń cieles-
nych musimy poprzedzić bada-
niem lekarskim, poczem przy
stałem uprawianiu sportów na-
leży co pewien czas poddawać
kontrolę stan swego zdrowia.
Ostrożność przy doborze ćwi-
czeń jest konieczna. Dorobek
doświadczalny poradni sporto-
wych daje już pewien materiał,
który pozwala na podział ćwi-
czeń w zależności od rozwoju
fizycznego, wieku i budowy.

W życiu współczesnej kobie-
ty nieuprawianie turystyki pie-
szej, narciarstwa, kajakarstwa,
czy też żeglarstwa i t. p., jest
poprostu brakiem przeżycia ca-
łej skali bogatych, cudownych
wrażeń. Nie pozbawiamy się
rozmyślnie tych przeżyć.

O nich to, mówić będzie
„Dział kultury fizycznej” Ty-
godnika Kobiety. Dowiemy się
o pięknie wędrowek po szla-
kach górskich, wodnych i ni-
zinych, o emocjach latania na
szybowcach, o wyczynach na
szerokim świecie asów kobie-
cych, o cudach „śmigłej pło-
zy” — nart...

H. I.



Pokój dziecięcy

Widno, czysto, wesoło. Jak najwięcej miejsca do swobod-
nej zabawy. Bezpieczny schron dla skarbów składających się
nie zawsze z kosztownych zabawek. Lakierowana półka.
Można ją swobodnie zastąpić sosnowym stolikiem, w któ-
rego szufladce dziecięce rączki kryją zazdrośnie ziarna fasoli,
brunatne kasztany, pudełka, szpulki...

Niech będzie tylko słońce. Słońce co zagłąda przez szyby
uczynnym, pogodnym rankiem, co rozświetla szary słotny dzień,
zakłętę w słodyczy macierzyńskiego uśmiechu...

Pokarm naszych dzieci

Mleko

Mleko — pokarm, który służy roz-
wojowi młodych organizmów, jest pod-
stawą racjonalnego odżywiania nie-
mowląt i dzieci, potrzebujących prze-
dewszystkiem dużej ilości wapna na
budowę kości, witamin i soli odży-
wcz, jakich skoncentrowaniem jest
właśnie mleko pełnowartościowe.

Zorientowanie się w wartościach te-
go bezcennego pokarmu polega na
poznaniu jego składu chemicznego,
który przedstawia się, jak niżej:

wody	około 87,5%
tluszczu	„ 4,5%
białka	„ 4,0%
cukru mlecznego	„ 4,5%
soli mineralnych	„ 0,9%

plus witaminy, które są ściśle uzależ-
nione od rodzaju paszy spożywanej
przez krowy, a zatem występują w
okresie żywienia bydła paszą zieloną.

Nie wystarczy jednak znać podsta-
wową wartość mleka, jako pokarmu
naszych dzieci, trzeba jeszcze umieć
się z niem racjonalnie obchodzić, bo
nieumiejętne przechowywanie i goto-
wanie mleka to najczęściej marnowa-
nie częściowe, lub całkowite jego za-
sadniczych wartości.

Każda z nas musi docenić niebezpie-
czeństwo żywienia dzieci mlekiem o
niepewnym pochodzeniu, dlatego też
„oszczędność groszowa” jest tutaj nie-
wskazana. Jedynym wskazaniem będzie
mleko pochodzące z obór prowadzo-
nych wzorowo, pozostających pod sta-
łym nadzorem lekarskim, dostarczane
do miasta w specjalnem opakowaniu,
chroniącem go przed zafalszowaniem.

W stanie surowym można przecho-
wywać mleko bez obawy o szkodliwe
zmiany nie dłużej niż dobę od chwili
wydojenia i to jedynie w temperaturze
nieprzekraczającej 10 stopni C.

Zbędnem chyba będzie przypomina-
nie, że naczynia służące do przecho-
wywania mleka muszą być utrzyma-
ne we wzorowej czystości. Po opróż-
nieniu trzeba je wyparzyć kilkakrot-
nie, później wymyć starannie, wypłó-
kać i wysuszyć. Nie wycierać ścierka-
mi (szczególnie o wątpliwej czysto-
ści).

Najodpowiedniejszymi do przecho-
wywania mleka w gospodarstwie domo-
wem są naczynia: porcelanowe,
szklane, kamienne nieuszkodzone, bez
rys i szczerb. W gospodarstwach wiejs-
kich mleko powinno być przenoszone
z obory pod przykryciem, w naczyniu

czystym i tylko do mleka przeznaco-
nem. Przed zlaniem do naczyn, w
których będzie przechowywane, trzeba
je precedzić przez bardzo gęste, czy-
sto utrzymane i do niczego innego
nieużywane sito. Mleko nabywane w
mieście wymaga również precedze-
nia.

Gotowanie mleka wy-
maga specjalnej umie-
jętności, polegającej na
zorientowaniu się w tem
jak bardzo duży wpływ
wywiera ta właśnie umie-
jętność na zachowanie
wartości odżywczych mle-
ka.

Gotować? Nie. Pod-
grzewać.

Podgrzewać do wyso-
kości 75 stopni C., co
wystarczy całkowicie do
zabicia szkodliwych bak-
teryj, a nie pozbawi wi-
tamin ich pełnej war-
tości.

System trzymania mle-
ka dłuższy czas na gorą-
cej blasze, kilkakrotne-
go podgrzewania, to roz-
myślnie marnowanie jego
podstawowych skład-
ników odżywczych. Jeżeli
już z jakichkolwiek
względów: braku czasu,
niedoceniaenia racjonal-

nych wskazań, nie chcemy zasto-
sować się do powyższych wska-
zówek i gotujemy mleko zamiast
je podgrzewać, pamiętajmy chocia-
by o tem, aby: gotować je w ostatniej
chwili, chronić przed kipieniem i zdej-
mować z ognia natychmiast po za-
wrzeniu.

N-ska.



przemiała komedia, pełna tempa,
humoru i doskonałego dowcipu.
Dwie pary miłosne, które
autor ciągle przedstawia, niby
pionki szachowe, mają wyraźne
zacięcie operetkowe, to też on-
gi cieszącą się wielkiem powo-
dzeniem operetka „Bohatero-
wie” była przeróbką z tej wła-
śnie sztuki Bernarda Shaw. A
coż tu jest z bohaterstwa? Ano
nie tak wiele. Odbronzawia się
trochę to duże słowo, mówi się
o wolności człowieka i o tem
podobnych wzniosłościach. Je-
dyny, poważniej zarysowany
typ, służącą Anitę, która buntu-
je się przeciw niewolniczej słu-
żalności, i jest w dysharmoniji
z całym tym groteskowym to-
warzystwem, które służy do wy-
śmiania wszystkich napuszonych
słów i konwencjonalnych uc-
czuć. Staje się, jak się stać po-
winno: prostota zwycięża, mi-
łość zwycięża, i... Węgierko
zwycięża. Jako reżyser i jako
aktor. Drugim zwycięzcą jest
Kurnakowicz, kapitałny, jako
papa-major. Narzeczoną-ma-
ior jest też dobry, ale Węgierko,
Kurnakowicz i Buczyńska sto-
ją, jak się to mówi „na czele ca-
łego zespołu”.

Sztuka ma zapewnione dłu-
gotrwale powodzenie.

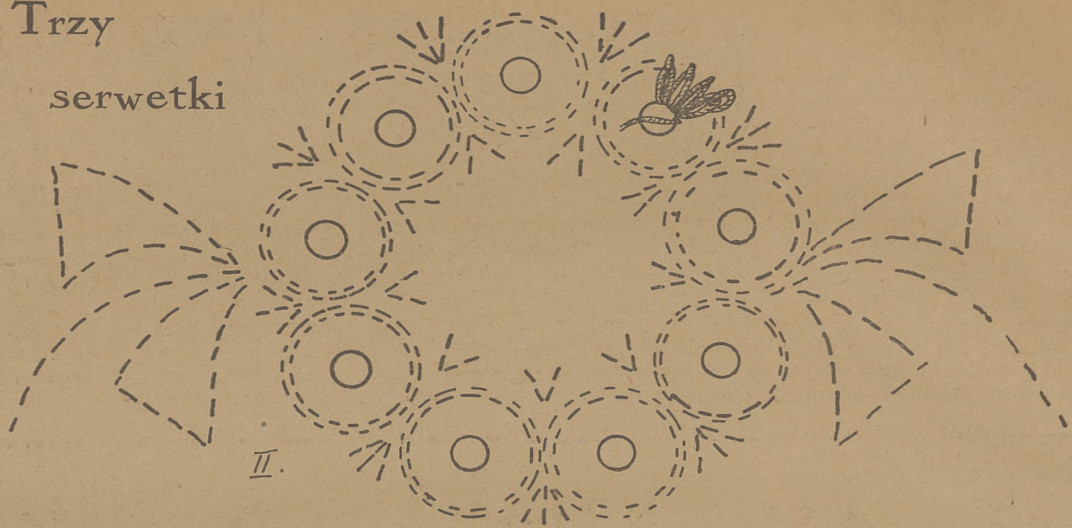
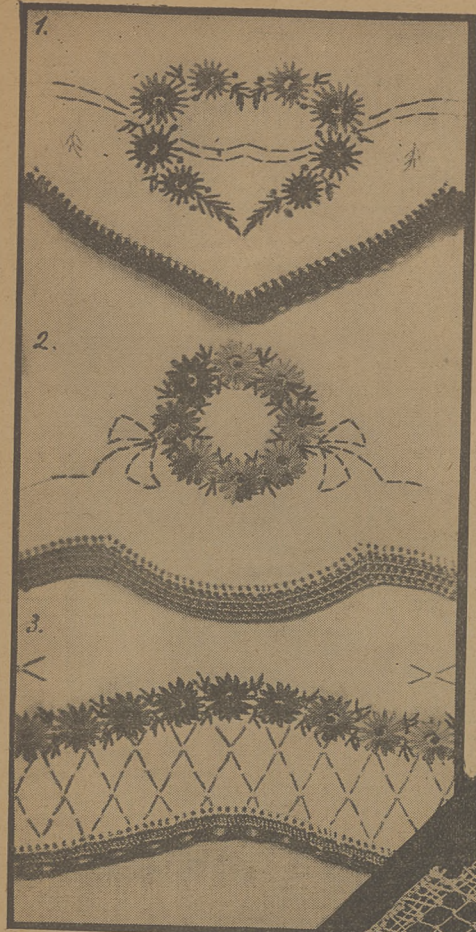
Zofja Miszewska.



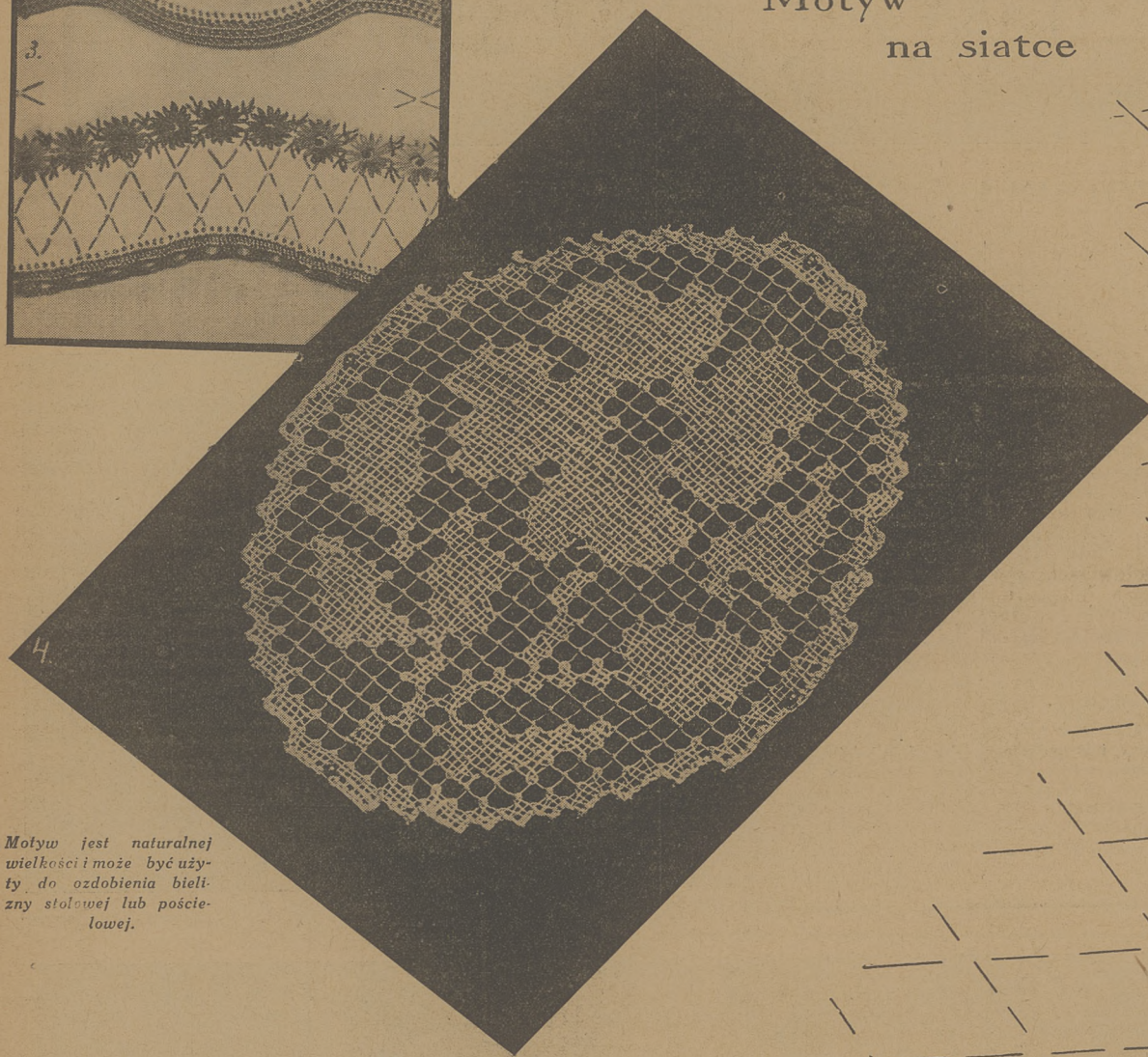
FOT. J. MALARSKI

Barszczewska, Turakiewicz, Macherski i Dymisz w „Domu otwartym”.

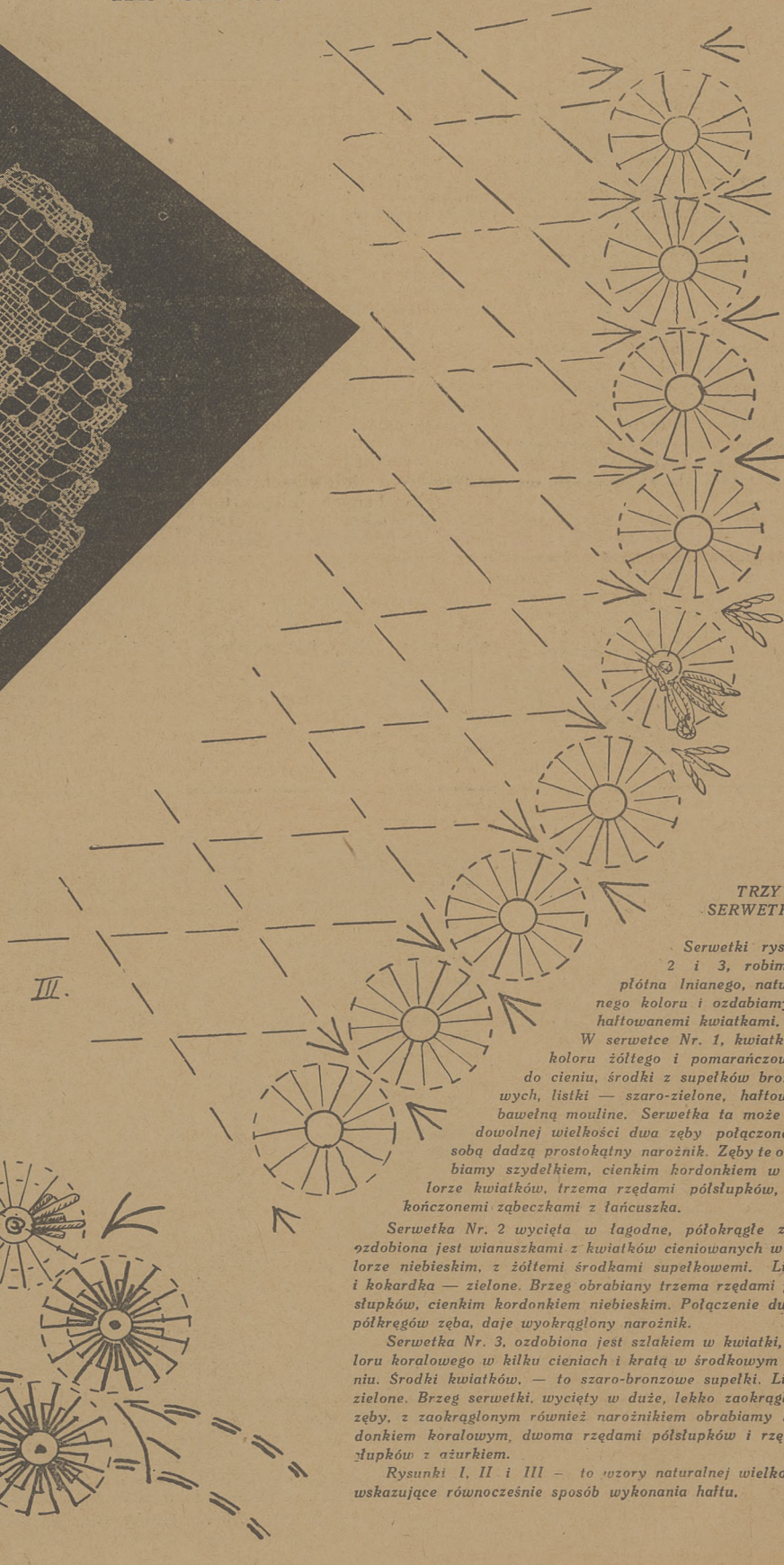
Trzy serwetki



Motyw na siatce



Motyw jest naturalnej wielkości i może być użyty do ozdobienia bielizny stołowej lub pościelowej.



TRZY SERWETKI

Serwetki rys. 1, 2 i 3, robimy z płótna lnianego, naturalnego koloru i ozdabiamy je haftowanymi kwiatkami.

W serwetce Nr. 1, kwiatki są koloru żółtego i pomarańczowego do cienia, środki z supelków brązowych, listki — szaro-zielone, haftowane bawełną mouline. Serwetka ta może być dowolnej wielkości dwa zęby połączone ze sobą dadzą prostokątny narożnik. Zęby te obrabiamy szydełkiem, cienkim kordonkiem w kolorze kwiatków, trzema rzędami półslupków, zakończonymi ząbeczkami z łańcuszka.

Serwetka Nr. 2 wycięta w łagodne, półokrągłe zęby, ozdobiona jest wianuszkami z kwiatków cieniowanych w kolorze niebieskim, z żółtymi środkami supelkowymi. Listki i kokardka — zielone. Brzeg obrabiany trzema rzędami półslupków, cienkim kordonkiem niebieskim. Połączenie dwóch półkręgów zęba, daje wyokrąglony narożnik.

Serwetka Nr. 3, ozdobiona jest szlakiem w kwiatki, koloru koralowego w kilku cieniach i krata w środkowym cieniu. Środki kwiatków, — to szaro-brązowe supelki. Listki zielone. Brzeg serwetki, wycięty w duże, lekko zaokrąglone zęby, z zaokrąglonym również narożnikiem obrabiamy kordonkiem koralowym, dwoma rzędami półslupków i rzędem slupków z ażurkiem.

Rysunki I, II i III — to wzory naturalnej wielkości, wskazujące równocześnie sposób wykonania haftu.

Do Czytelniczek Tygodnika Kobiety

Listy i telefony. Życzliwe uwagi. Zwięzłe sformułowane życzenia i oczekiwania Czytelniczek (i Czytelników!) Dobrze, ciepłe słowa zachęty...

Oto plon, który przyniosły nam pierwsze chwile, dodając bodźca do pracy, budząc wiarę w to, że nasze dążenia znalazły oddźwięk wśród szerokich warstw kobiet, co zrozumiały „znak”, pod jakim narodził się Tygodnik Kobiety.

A teraz odpowiedź na te pytania. Nasz zakres treści?

Wszystko, co życie ze sobą niesie. Wszystko, co budzi zainteresowanie. Sprawy społeczne i gospodarcze. Okno na świat otwarte, jak najszerzej. Zdobycze nauki. Kultura i sztuka. Prawo i medycyna. Zagadnienia pedagogiczne. Sport i krajoznawstwo. Feljeton i reportaż. Powieść i nowela. Trochę humoru i trochę sentymentu. Cnoty i niecnoty życia towarzyskiego. Trochę flirtu i dużo powagi. Moda i kosmetyka. Jak z rogu obfitości sypiące się na szpalty Tygodnika Kobiety zagadnienia dnia powszedniego. Roboty ręczne i wnętrza. Konkursy i ankiety. Odpowiedzi od Redakcji, dział uszczególnionych porad i korespondencji pomiędzy Czytelniczkami. A przede wszystkim lojalność w podejściu do zainteresowań i potrzeb wszystkich umysłów i serc, wszystkich, tak różnorodnych budżetów, zgrupowanych dokoła Tygodnika Kobiety.

Nasz program? Jak najszerzej otwarte drzwi dla inicjatywy Czytelniczek, Ich życzliwej krytyki i rady.

Tygodnik Kobiety, to nie pismo wydawców, nie pismo zespołu redakcyjnego, to pismo wszystkich kobiet, które zgromadzą się pod jego sztandarem.

Jeżeli ma być naszym wspólnym organem — musimy go redagować wspólnie. Musimy żyć na jego szpaltach w dobrym, siostrzanym, serdecznym porozumieniu.

Prosimy więc wszystkie Czytelniczki o głos!

REDAKCJA.

W OBRONIE DNIA POWSZEDNIEGO

W czterech ścianach

„Cztery ściany” nie zawsze są przenośnią.

Używamy wprawdzie tego wyrażenia mówiąc o rozległym domu, w którego „czterech ścianach” kształtuje się życie rodzinne. Dzisiaj jednak zerwiemy z przenośnią, biorąc za temat prawdziwie szczuple cztery ściany jednego sublokatorskiego pokoju i samotną egzystencję, którą wśród nich, tak nieraz szaro i smutnie wie dzie pracująca kobieta.

Skala tej egzystencji jest uzależniona od środków materialnych, nie w takiej jednak mierze, jakby się to napozór wydawało.

Tylko kobieta pozbawiona daru „wicia gniazda” będzie wyrzekała wnieście na nieprzytulność obcych ścian, uważając że nie warto się w nich zadowolić, lepiej żyć w kuferku, jak na popasie, bo przecież prędzej, czy później trzeba się będzie znów z tego „nie swojego domu” wynosić.

Ale to nie jest przywilejem tylko nie swojego domu.

Ileż razy przenosimy się, tworząc dom, mając liczną rodzinę i nie przeskądza nam to bynajmniej w zadowoleniu się na nowem mieszkaniu.

Więc chłód, jaki wieje od sublokatorskiego życia, to prędzej cecha naszej natury, niż życiowa konieczność. Tak mnie się przynajmniej wydaje.

Jedną z poważniejszych bolączek sublokatorskiej egzystencji, na którą dzisiaj skazany jest legion kobiet pracujących, to sprawa aprowizacyjna. Problem prawdziwie trudny do rozwiązania.

Pokój z całodziennym utrzymaniem?

Odciaż to wprawdzie, zwalnia z kłopotu troszczenia się o posiłki, ale jakże rzadko mieści się w budżecie kobiety pracującej!

Więc szklanka herbaty, czy gorąca woda, przynieszone do pokoju. Do niej byle co zjedzone na rogu stołu, w niesprzątniętym jeszcze pokoju. Drugie śniadanie prowizoryczne, zjadane „na sucho”, albo dopełnione szklanką przygodnej herbaty najczęściej chłodnej, lub zimnej i zawsze dalekiej smakowo od tego, czem być powinna. A już najgorszy ze wszystkich — obiad w jadłodajni, którego przywieziony szablony jest czarna plama na egzystencji osób „stojących się na mieście”.

Kolacja? Znów ta sama herbatka, pieczywo z jakimś powtarzającym się w nieskończoność dodatkiem. Oto pierwotny wzór, od którego niema odchylenia, a jeżeli są to przeważnie na niekorzystny system.

Jest wprawdzie szereg instytucji dbałych o swoich pracowników. W nich każda z osób pracujących może, za niewielką stosunkowo opłatą zjeść pierwsze i drugie śniadanie, a nawet obiad.

To są jednak wyjątki. Ogół samotnych, nie posiadających domu rodzinnego, tuła się po przygodnych stołowniach, zawsze zaniedbanych, nieprzytulnych, przesiąkniętych swoistym zapachem, który odbiera apetyt już u paru.

Przydałyby się stolice, przydałyby się naszym większym miastom wzorowo urządzone współdzielcze jadłodajnie. Kobiety samotne, pozbawione domowego ogniska, mogłyby spożywać w takich jadłodajniach skromne, ale zdrowe i smaczne posiłki, w otoczeniu, które dałoby im równocześnie miłe, spokojne wytchnienie.

Korzyść dwustronna, bo przeciw i kobiety, które podjęłyby się prowadzenia wzorowych jadłodajni, znajdując w tej pracy źródło egzystencji.

Możeby warto pomyśleć o stworzeniu takich placówek w imię obrony dnia powszedniego kobiety pracującej?

Wanda Dobrzańska.

Z rynków spożywczych

O ile pani domu robi sama przynajmniej ważniejsze zakupy — zna doskonale stan rynku, a nawet ceny poszczególnych produktów, te ceny, których w przeglądzie dwutygodniowym podawać nie sposób, gdyż wskutek większej lub mniejszej podaży danego artykułu, kilkakrotnie zmienić się mogą.

Inaczej jest z panią domu, która naskutek słabego zdrowia, zajęć pozadomowych, drobnych dzieci lub innych poważnych przyczyn w sprawach aprowizacyjnych, zupełnie na swej pomocy polegać musi.

Dla tej ostatniej wiadomości o stanie rynku, o największej podaży, a zatem największej taniości jakiegos artykułu, o pojawieniu się jakichś artykułów sezonowych, jakichś nowalijek i t. p. są nader cenne, gdyż pozwalają do pewnego stopnia, kierować zakupami kuchennymi.

Jednak i te szczęśliwie, pierwsze, winny zawsze zgóry obmyśleć te zakupy i zastosować je do dokładnie obliczonych możliwości budżetowych. Wiadomości o stanie rynku pozwolą im ułożyć preliminarz większych wydatków na te dwa tygodnie i urozmaicenie jadłospisów. Zamiast powszedniej pieczeni wołowej, cielecej lub wieprzowej, zjawia się w danej chwili nie droższy drób, zwierzyzna. Zamiast ciągłych kartofli i makaronu będziemy w zimie nawet jadali zdrowe jarzyny, witaminowe salaty. Ryby których mamy ogromną obfitość przestaną być potrawą od piątku i gości, a owoce będą stanowiły nieodłączną część każdego posiłku.

Pierwsze moje sprawozdanie rynkowe obejmie pokrótce wszystkie prawie działy artykułów spożywczych, w na-

stępnych zapewne, będę się ograniczała do nowości, lub produktów występujących masowo albo też do wzmiarek, że właśnie te lub tamte zniknęły z rynku, bo przyszedł na nie czas prohibicyjny (dla zwierzyny), przestały rosnać (grzyby), zaczęły się psuć owoce i t. p.

Więc w dziale mięs rzeźnych mamy obecnie wyborową, bo jeszcze z pastwisk, wołowinę, nieprzetłuszczoną, a zatem smaczną wieprzowinę i jest sezon na baraninę, zawsze w Warszawie niedobłą, bo w większej części pochodząca z hodowanych na koczach „wrzosówek”. Wprowadzenie w kraj hodowanych, wyborowych w smaku baranów angielskich, bardzo powoli się posuwa naprzód. Stale taką baraninę nabywać można w kilku najlepszych handlach delikatesów. O dobrą „mleczną” cielecinę też trudno. Zamiast niej sprzedają tak zwane „bukaty”, ni to cieleń ni wół, o szarem, niesmacznym mięsie.

Najbogaciej jest zaopatrzonej rynek zwierzynowy. Sarny, zające, kurapatwy i dzikie kaczki. Wybór ogromny, ceny niewysokie. Kuropatw wprawdzie znacznie mniej, niż w roku ubiegłym, lecz, dzięki kryzysowi ceny niewysokie. Zające już od lat paru stały się codziennym daniem w mniej zamożnych rodzinach, gdyż po umiejętnym zużyciu przodków i dróbek mięso zająca kalkuluje się taniej od wołowiny. W kraju obfitującym w polowania, jak Polska, stale zbyt drogą jest sarnina. W użyciu, oczywiście w sferach zamożnych, są jej części „reprezentacyjne”, comber i udziec. W oczekiwaniu na nabywców tych droższych części, przednie się marnują lub są sprzedawane po cenach części wy-

borowych. W Wiedniu, mieście również bogatym w sarninę, steki z łopatki, potrawki w sosie myśliwskim z żeberek i mostków, gulasze i pasztety z karków sarnich są daniem codziennym w najoszczędniejszych gospodarstwach.

Drobiau mamy bardzo dużo i widocznie, wskutek złych koniunktur eksportowych, jest nadzwyczaj tani! Indorów tuczonych jeszcze nie widać, lecz młode indyczki są zabezpieczone, pulardy, kurczęta, perliczki po cenach wzbudzających współczucie dla hodowców. Kaczki są nieco droższe, a głównie brak tuczonych, — młode, bardzo smaczne, nie są mięsiste. Za to gęsi — widocznie nie idą do Niemiec i należałoby, za przykładem Litwy, częściej pensyj urzędnikom wypłacać gęśmi, obowiązując każdego z nich, stosownie do wysokości poborów, do kupna jednej lub kilku sztuk. Wobec ich niskiej ceny, nie byłoby bardzo po krzywdzeni.

Z ryb bardzo staniały karpie, sandace i szczupaki. Pierwsze można mieć w cenie wołowiny z kośćmi,

drugie i trzecie są tańsze od wołowiny bez kości.

Należy to zapewne przypisać konkurencji ryb morskich, fląder i dorszy mrożonych. W dziale jarzyn, mamy na koniec wszystkie gatunki sałat zielonych, tak pięknych, że nie powstydziliby się ich rynek paryski. Sałata głowiasta, rzymska, endywia, eskarolki, rozciągają wszędzie przepych różnych odcieni zieleni i złota. Nawet w paru sklepach pojawiła się oddawna upragniona rzerzucha wodna.

Mimo tegorocznego nieurodzaju, mamy dużo wyborowych jabłek i gruszek krajowych. Kuchenne antonówki są równie tanie, jak w urodzajnym roku ubiegłym. Już są sygnalizowane, „wymienione na jaja”, transporty pomarańczy hiszpańskich. Oby były równie tanie, lecz lepsze od szeszoletnich. Tymczasem jesteśmy zaopatrzeni winogronami: rumuńskimi, bułgarskimi, greckimi i węgierskimi i zaczynamy coraz więcej hodować polskich.

Pani Elżbieta.



Fot. W. Stępowski.

Naprawiamy

Najpożyteczniejsza i najpotrzebniejsza z robót ręcznych — naprawianie nie cieszy się zasłużoną popularnością. Chociaż należałoby się jej należne miejsce w długim szeregu robót kobiecych jest niedoceniana, mało osób ją lubi, a jeszcze mniej, niestety, umie.

Naprawianie wymaga wielkiej staranności i cierpliwości, musi być wykonane dokładnie i koniecznie w ręku. Od czasu gdy zapanowała wszechwładnia maszyna, ręczne szycie, a tem samem i tradycja ładnego naprawiania zagięły zupełnie. Zaledwie niewielka ilość kobiet i to starszych, kształconych na dawnych wzorach, umie ładnie naprawiać. Dzisiejsze czasy popiechą, a gwałtownej pracy nie nadają się do mozolnej, drobiazgowej roboty, jakiej wymaga naprawianie.

W pogoni za groszem, gdzie zwy-

cieża ten, kto drugiego wyprzedzi nie można się dziwić, że chodzi nietyło o dokładne wykonanie, co o szybkość roboty, nie każdy nawet wie, jaką ona być powinna. Coraz bardziej zanika poczucie dokładności we wszystkim, a cóż dopiero we wszywanu lat i w cerowaniu, które, wykonane byle jak zniszczy wkrótce najładniejszą bieliznę. To też dzisiaj, gdy każdy musi oszczędzać, znajomość reparacji jest konieczna.

Aby umieć naprawiać trzeba przede wszystkim umieć szyc w ręku, dlatego też zaczynamy od szycia ręcznego.

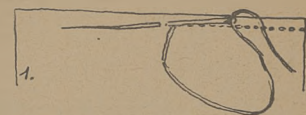
Szycie ręczne.

Szycząc w ręku, nie należy zbyt pochylać się nad robotą, którą trzeba trzymać między pierwszym i drugim palcem lewej ręki, podnosząc ją w miarę potrzeby do oczu, a nie nachylając się nad nią. W żadnym razie nie wolno przypinać roboty do kolana, ze względu na przykre dla zdrowia następstwa takiej pozycji.

Iglę trzyma się między pierwszym i drugim palcem prawej ręki, a popycha się trzecim, zaopatrzoną w narparkę.

Przy nauce szycia trzeba uważać, aby nie zaniedbać żadnej z podanych wskazówek i odrazu uczyć się szyc prawidłowo. Główne zalety szycia ręcznego, to czystość, równość ściegu i linii. Każdy ścieg ma swoją nazwę i zastosowanie, swój sposób wykonania i odrębne zalety.

Ścieg przed igłą (rys. 1). Ściegu tego używa się do zeszywania dwóch



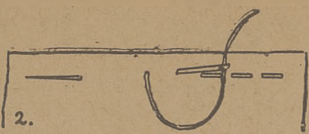
brytów, do szycia zakładki i t. p.; jest on podstawą ściegu francuskiego i podwrebiania. O ile materiał jest

ciemki, można nabierać na igłę po kilka ściągów, uważając, aby były bardzo równe.

Iglę wkłada się prostopadle, a po wyciągnięciu jej przy dalszym wkłuwaniu musi być zachowana ściśle ta sama odległość i prosta linia.

Ścieg za igłą (rys. 2). Przy tym ścięgu igłę wkładamy za ścięgiem, a wyciągamy przed nim. Ściegi są wkładane w pewnej od siebie odległości, a dzieląca je przestrzeń równa się długości ścięgu.

Iglę wkłada w materiał wyciągamy wkładając następnie o dwie, lub trzy ritki wtył od prawej strony. Wycią-



gamy ją z lewej o cztery lub sześć nitek naprzód i znów wkładamy w tył z prawej strony, zachowując tę samą odległość.

(d. c. n.)

H. Z.



Fot. W. Stępowski.

Martwy sezon

W martwych sezonach późnej jesieni i zimy, coraz rzadziej pojawiają się kwiaty w naszych wazonach. Nawet te stosunkowo tanie nie mieszczą się w przeciętnym budżecie.

Nie kupujemy ich same. Jeżeli dostajemy kiedy to najczęściej „nielogicznie”, bo masowo w dniu jakiejś rocznicy, lub imienin. Więdą szybko, pozostawiając po sobie tem dotkliwą pustkę i tęsknotę.

Głód kwiatów daje się najżywniej odczuwać w domu pozbawionym roślin pokojowych, tylko że, niestety, nie każda z nas pielęgnuje je tak, żeby mogły stać się prawdziwą ozdobą.

Te zabiedzone, o przereźdżonych liściach, umierające powolną śmiercią rośliny - sieroty, nie mogą być zaliczone do rzędu wykładników piękna, do dokumentów zmysłu estetycznego pań domu. Lepiej już zastąpić je zimowymi bukietami z preparowanych liści, czy gałęzi. Natomiast rośliny doniczkowe otoczone umiętą i systematyczną opieką mogą stać się podstawą dekoracji najskromniejszych i świątecznych wnętrz.

Potrzeba im tylko światła, powietrza, racjonalnie dozowanej dawki wody i tego subtelnego wyczucia ich potrzeb, które cechuje naturę każdego miłośnika-hodowcy.

Nie można się też obejść bez pewnych zasadniczych wiadomości nie-

zbędnych tam, gdzie w grę wchodzi dobrobyt roślin pokojowych. Trzeba wiedzieć, które z nich potrzebują pełnej operacji słonecznej — te stawiamy na parapetach okiennych.

Nie dysponując takim stanowiskiem zadowolimy się roślinami węgłowymi pomyślnie w świetle, ale bez nadmiaru słońca, zaliczając do nich: wszystkie asparagusy, aspidistry, paprocie bostońskie. Byłe im dostarczyć świeżego powietrza, skrapiać często i utrzymywać w czystości. Będą rozrastały się bujnie.

Skrapianie roślin doniczkowych wodą o temperaturze pokojowej jest wskazane zawsze, a specjalnie w okresach kiedy zaczynamy ogrzewać mieszkania. Przy centralnym ogrzewaniu nie wystarczy samo zraszanie roślin, trzeba jeszcze dostarczyć im wilgoci przez ustawianie na radiatorach specjalnych rynek z blachy cynkowej, lub też zawieszanie zbiorników wody (znajdziemy je w handlu). W ten sposób woda ustawiona na radiatorach podgrzewa się, paruje i nasycza powietrze wilgocią, co jest wskazane nie tylko z punktu widzenia roślin pokojowych, ale i ludzi przebywających w mieszkaniu. Wiemy bowiem, jak często zdarzają się wypadki uporczywego bólu głowy spowodowanego powietrzem nadmiernie wysuszonym przez centralne ogrzewanie. Scabiosa.

CZYTELNICZKI TYGODNIKA KOBIETY MOGĄ OTRZYMAĆ FORMY BIBULKOWE WSZYSTKICH MODELI PODAWANYCH NA 3 STR. OKŁADKI

W PORADNI MODY Warszawa, Świętokrzyska 17 w cenie: Formy większe (palta, suknie i t. p. 2 zł. 50 gr.

Formy mniejsze (bluzki, spodnice, bielizna) 2 zł. Załączony poniżej kupon uprawnia Panię Czytelniczkę do otrzymania formy bibulkowej jednego z modeli podanych w naszym piśmie

Z RABATEM 50%

KUPON

uprawniający do nabycia formy bibulkowej po niższej cenie.

Uwaga: Pani, któreby zechciały skorzystać ze zniżki, a nie chciałyby wycinać kuponu, mogą zamiast wycinania, dać go skasować, okazując swój egzemplarz.

TREŚĆ NUMERU: O sprawiedliwy podział bochenka — *Zofja Poptawska*. Amerykanka w swoim klubie — *Zofja Gostomska*. Wczoraj, dziś i jutro — *Zet*. Podzwonne Henri Barbusse'a — *Zofja Miszewska*. Lecą ostatnie liście z drzew. Małe panie domu — *Marja Dobrowolska*. — *Uzurpator* — powieść — *William Locke*. Amazonki — *J. Łada Walicka*. Ze srebrnego ekranu *do-ha*. Ankieta. Moda na ulicy — *Well*. Melpomena i ja — *Zofja Miszewska* Sport — źródło radości — *H. I.* Pokój dziecięcy — Pokarm naszych dzieci — *N-ska*. Trzy serwetki — motywy na siatce. Do Czytelniczek. W czterech ścianach — *Wanda Dobrzańska*. Z rynków spożywczych — *Pani Elżbieta*. Naprawiamy — *H. Z.* Martwy sezon — *Scabiosa*. Jadłospis tygodniowy — Przepisy kulinarne — *Melba*. Praktyczne drobiazgi — Opis modeli.

Jadłospis tygodniowy

OBIADY JARSKIF

1. Zupa grzybowa czysta z łazankami. Kapusta włoska kraszona masłem rumianem z bułeczką Grzanki z sokiem.
2. Kartoflanka przecierana ze śmietaną — grzanecki Makaron włoski zapiekany z pomidorami i serem Ogórki z konserwy Galaretką z soku malinowego — biszkopciuki.
3. Sałatka z rydów kiszonych z oliwą Barszcz ze śmietaną — kartofle Kalafiory z masłem Strudel z kwaśną śmietaną.
4. Zupa cebulowa z kluseczkami francuskimi

- Kartofle duszone w śmietanie Sałatka z kapusty włoskiej (surówka) z jabłkami Naleśniki z kremem waniliowym.
5. Kapuśniak — kartofle tłuczone Grzybki suszone osmażane w klarownie — chrzan tarty Budyń z sera — masło klarowane Owoce.
 6. Zupa koperkowa ze śmietaną i ryżem Kotlety z kartofli — ostry sos kaparowy Brukselka z masłem Jabłka pieczone.
 7. Sałatka z jarzyn — w galarecie Zupa fasolowa przecierana Mrówki Torcik kruchy z galaretką porzeczkową.

10 dk tartego sera szwajcarskiego szklanka słodkiej śmietanki kremowej

soli do smaku piana z pozostałych białek masło i bułeczka do formy.

Zagotować wodę z masłem, cukrem i szczyptą soli. Wsypać na wrzącą wodę osianą mąkę, mieszając szybko tak, aby wytworzyło się gładkie ciasto. Gdy masa przestygnie, wyjąć ją na miskę, ucierać wałkiem drewnianym, dodając stopniowo po jednym żółtku, ser tarty i słodką śmietankę. Dodać soli do smaku i ucierać tak długo, dopóki masa nie stanie się gładką i pulchną.

Włożyć masę do formy budyniowej wysmarowanej masłem i wyproszonej bułeczką. Zamknąć szczelnie formę, gotować na parze godzinę. Po ugotowaniu zdjąć z ognia, a po upływie 10 minut wyjąć budyń na ogniotrwały półmisek, wysmarowany masłem, oblać szklanką śmietany rozkloczonej z 2 żółtkami z dodatkiem 2 łyżek tartego sera i siekanego koperku. Wsunąć do bardzo gorącego pieca, zrumienić.

Przepisy kulinarne

PALUSZKI KARTOFLANE DO ZUPY

Proporcja:

10 dk kartofli gotowanych
10 dk masła
10 dk mąki pszennej — sól.
Ugotować kartofle, odparować utłuc i prześiać przez sito. Zagnieść ciasto z kartofli, mąki i masła, soląc do smaku. Formować wałeczki grubości palca, pokrajając skórnio na paluszki jednakowej długości. Piec w gorącym piecu na złoty kolor. Podawać wprost z pieca.

Melba

SURÓWKA Z KAPUSTY WŁOSKIEJ.

Główka kapusty włoskiej.
2 jabłka winkowate
Sok cytrynowy
2 łyżki oliwy nicejskiej
sól — buljon — cukier siekana zieleninka.

Poszatkować główkę kapusty jak najcieńiej. Sparzyć wrzącą wodą. Osączyć. Wybrać dojrzałe, zdrowe jabłka, umyć czysto, wydrążyć środki, pokrajając w drobną kostkę, skropić sokiem cytrynowym, wymieszać z kapustą.

Sok cytrynowy, oliwę, kilka kropel mocnego buljonu, siekana zieleninka, sól i cukier wymieszać razem. Zalać tą zupą kapustę z jabłkami, postawić w chłodzie na kilka godzin przed wydanym. Do takiej sałatki można też podać sos majonезowy.

MRÓWKI.

½ kg. mąki
tyle jajek, ile mąka wchłonie
¼ kg. grzybów suszonych
1 duża cebula cukrowa
15 dk. masła.

Zagnieść ciasto na samych jajkach. Brać po kawałku, tulać wałeczki i z nich rwać drobnitkie zaciereczki.

Grzyby ugotować w krótkim smaku (smak użyć na drugi dzień na zupę). Ugotowane grzyby osączyć, posiekać.

Cebulę posiekać drobno, przesmażyć w maśle, nie rumianąc. Rzucić zaciereczki na obfitą osoloną wodę, gotować krótką chwilę, wylać na durszlak, przelać zimną wodą, osączyć.

OPIS MODELI

DRUGA STRONA OKŁADKI:

1. Komplet z czarnej wełny. Zakiet suto przybrany imitacją fok. Model Madeleine de Rauch.
2. Palto turtlane z tlenionych kaszanków.
3. Okrycie trzy czwarte z karakułow.
4. Najmniejsza pelerynka kawalkowa.
5. Pelerynka z kretów. Model firmy Bruyère.

CZWARTA STRONA OKŁADKI:

1. Suknia-kostjum (pod palto) zrobiona z fabrycznego trykotu w kolorze piaskowym.
2. Suknia popołudniowa z czarnego trykotu. Pasek — szarla z aksamitu.
3. Suknia wizytowa z ciemno-fioletowej wełny. Pasek i krawał z aksamitu wykończony chwastami.

Praktyczne

drobiazgi



Budzik, ten przyjaciel — wróg wczesnych ranków, kiedy to wywołuje nas z ciepłej, zaciśnięj pościeli, umie oddawać i mniej złośliwie przysługi.

Jeżeli umieścimy w piecyku jakieś delikatne ciasto, czy danie, wymagające czasu pieczenia nie polegamy tylko na pamięci. Pamięć często zawodzi. Wystarczy jednak nastawić budzik, a przypomni on napewno o tem, że czas już zająrzeć do pieca.



Sól łatwo wilgnie, traci sypkość, oblega otwory i ścianki solniczki, staje się trudna do użycia, wygląda nieestetycznie na stole jadalnym. Aby temu zapobiec trzeba do czysto wymytej i starannie wysuszonej solniczki rzucić kilka ziarn ryżu i dopiero wypełnić ją solą. Ryż wchłonie wilgoć — sól będzie sucha i sypka.

TYGODNIK KOBIETY

kosztuje w sprzedaży 50 groszy za egzemplarz.

OPLATA MIESIĘCZNA wynosi 1 zł. 75 gr. (co wypada za egzemplarz około 40 gr.).

OPLATA KWARTALNA wynosi 5 zł. (co wypada za egzemplarz około 38 gr.).

U L G I

każda P. P. Prenumeratorka otrzyma bez żadnej dopłaty specjalnej **NUMERY SEZONOWE** wydawane w zwiększonej objętości i wykwinnej szacie zewnętrznej. Numery sezonowe będą w sprzedaży droższe.

TYGODNIK KOBIETY

jest dostarczany P. P. Prenumeratorkom pocztą do mieszkania

PRENUMERATĘ

można wpłacić w następujący sposób:

- 1) w każdym urzędzie pocztowym wypełniając tak zwany przekaz rozrachunkowy (Pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 724.
- 2) na poczcie lub w P. K. O. na konto Tygodnika Kobiety w P. K. O. Nr. 13191 — wypełniając blankiet P. K. O.
- 3) bezpośrednio w Administracji Tygodnika Kobiety w Warszawie, ul. Okólnik 11a.

TYGODNIK KOBIETY

ukazuje się

w czwartek każdego tygodnia

SUKNIE POPOŁUDNIOWE

9. SUKNIA Z TAFTY Z SZEROKIMI RĘKAWAMI.
10. SUKNIA GRANATOWA PRZYBRANA ZAKŁADECZKAMI, PRZY WYCIĘCIU BIAŁA RIUSZKA.
11. CZARNA SUKNIA WYKONCZONA KOLOROWĄ WYPUSTKĄ. Z PRZODU ZACHODZI NA SZYJĘ, Z TYŁU ZAPINANA NA GUZICZKI.
12. SUKNIA Z MAROKENU W DROBNY DESEŃ, SZEROKI PASEK KRZYŻOWANY.
13. SUKNIA Z ZAKIECIKIEM Z MIENIĄCEJ TAFTY, KOŁNIERZ KŁOSZOWY, RĘKAWY PÓDŁUGIE, OBCISŁE, PASEK STEBNOWANY.

Formy bibulkowe do wszystkich modeli są do nabycia w PORADNI MODY — Warszawa Świętokrzyska 17.



9.



10.



12

13



*Suknie
Wetny*



2. *ovis na str. 13*

